

## Grzegorz Kotłowski, Elżbieta Starek, *Łacińskie inskrypcje w kościołach Gdańska. Bazylika Mariacka, Pelplin 2013, ss. 105+nlb 3*

Wydawnictwo gdańskiego środowiska filologów klasycznych stworzone zostało przede wszystkim z myślą o turystach i miłośnikach historii, jednak i badacze profesjonalści znajdują w nim bogaty materiał do analizy<sup>1</sup>.

Grzegorz Kotłowski i Elżbieta Starek we *Wstępie* książki zwracają uwagę na fakt, że inskrypcje rzadko stają się przedmiotem zainteresowania turystów – odstrasza ich język i niezrozumiałość przekazu. Aby zatem wyjść naprzeciw współczesnemu odbiorcy, Autorzy zdecydowali się przybliżyć treść inskrypcji rozlokowanych w przestrzeni gdańskiej Bazyliki Mariackiej, dodatkowo każdą z nich opatrując tłumaczeniem.

Zwiedzający kościoł mogą wykorzystać niniejszą książkę w charakterze przewodnika, który z powodzeniem posłuży zarówno krótkiej wizycie, jak i dłuższej kontemplacji zabytków. Pozycja na pewno wzbogaci ogólną wiedzę o świątyni, może okazać się również ciekawym pomysłem na wycieczkę tematyczną – śladami gdańskich napisów (łacińskich). Niewątpliwie praca G. Kotłowskiego i E. Starek to pomoc dla przewodników wycieczek, nie zawsze z wykształcenia historyków, historyków sztuki czy filologów – dla których pismo, a i język napisów wielokrotnie stanowią obszar nieznan i tym samym pomijany.

Niniejsza edycja przytacza treść 31 łacińskich inskrypcji, począwszy od wieku XIV – tablica fundacyjna (nr 19), aż do XXI – po-

mnik ofiar katastrofy smoleńskiej (nr 22). Najpełniej reprezentowane są stulecia XVI i XVII. Z wyjątkiem dwóch zabytków są to tablice nagrobne – epitafia. Edycja wzbogacona została fotografiami eksponującymi wygląd całego pomnika (tablicy, nagrobka) oraz odrębnie przybliżającymi każdy z napisów. Omyłkowo przy inskrypcji Macieja Zimmermanna (nr 23, s. 77) umieszczono zdjęcie tablicy Tomasza Tymfa (nr 24).

Dodatkowo Autorzy przygotowali noty biograficzne (na jednej – dwóch stronach) odnoszące się do postaci wymienianych w treści inskrypcji (wyróżnianych w tekście czcionką pogrubioną), tudzież krótką charakterystykę okoliczności powstania zabytku – tablica fundacyjna (nr 19), tablica jałmużnicza (nr 27).

Choć Autorzy nie wyjaśniają, jakimi zasadami kierowali się, przygotowując niniejszą edycję – co jest zrozumiałe, biorąc pod uwagę cel i przeznaczenie pracy – to czytelnik domyśli się, iż chodziło o jak najwierniejszą prezentację świadectw historycznych. Starano się oddać zarówno układ treści napisów – poszczególne wiersze kończą się tak jak na tablicach – choć pewną niekonsekwencję dostrzegamy przy inskrypcji nr 6 – część tekstu na pomniku występuje w dwóch kolumnach – a w edycji tylko w jednej – prawdopodobnie rozwiązania edytorskie i wielkość stron okazały się przeszkodą dla Wydawców. Podobnie też starano się konsekwentnie przenosić do publikacji moduł maju-

<sup>1</sup> Podobny przewodnik po inskrypcjach Warszawy opublikowały K. Kreyser i H. Cieszkowska – *Wizytówki Warszawy*, Warszawa 2000. Jest to poszerzona wersja wcześniejszej publikacji Auterek – *Gaudium in litteris, czyli radość z odczytywania napisów. Przechadzki po Warszawie*, Warszawa 1993.

skulny, minuskulny czy kursywny liter oraz ich wielkość. Nie uniknięto jednak drobnych pomyłek – np. na tablicy 20 forma kursywna liter występuje w treści od słowa *Obiit*, a nie tylko w dniu miesiąca (*24 Aprilis*), tak jak widzieli to Autorzy.

Rozwiązano wszelkie abrewiacje, które pojawiają się w inskrypcjach z użyciem nawiasów okrągłych; w sytuacji gdy stan zachowania napisu kazał się jego treści domyślać, użyto nawiasów kwadratowych. Dbałość o zachowanie wierności formy i treści przekazu sprawiła, iż Edytorzy zdecydowali się w odczytach pozostawić ligaturę *Æ*, *æ* oraz *œ*, a tym samym niekonsekwentnie pominąć pozostałe, np. *β* (podwójne s), *&* (et). Nie wiadomo, czy było to świadome działanie Autorów publikacji, czy redaktorów książki i składaczy tekstu. Dla edycji źródeł epigraficznych przyjmuje się rozwijanie wszelkiego typu skrótów (patrz m.in. wydawnictwo *Corpus Inscriptionum Poloniae*), tak jak w dużej mierze uczynili to Autorzy *Łacińskich inskrypcji*, skąd jednak zaczerpnęli pomysł na łączny zapis liter *ae* i *œ* – możemy się tylko domyślać.

G. Kotłowski i E. Starek zachowują interpunkcję oryginalnych inskrypcji – choć nie zawsze konsekwentnie, czego przykładem tablica 29, tudzież nie uwzględniają elementów zdobiących napis – np. dywizorów-rozet, jak na tablicy numer 18, lub dywizorów-kropek, jak w inskrypcji 29. Autorzy publikacji nie charakteryzują również typów pisma użytych w inskrypcjach. Niekonsekwencje widać w sposobie oddawania liczebników w datach – na tablicy 31 pominięto kropki oddzielające cyfry, w odczycie tablicy 7 i 26 są kropki, których nie ukazują zdjęcia, natomiast w inskrypcji 11 kropki są i w podstawie wydania, i w odczycie.

Edytorzy zdecydowali się nie zaznaczać akcentów (zwykle nad formami *ablativi singularis*), które pojawiają się w treści zabytków, np. w epitafium numer 13, 20, 31 – trochę to dziwi zarówno ze względu na fakt wykształcenia wydawców, jak i wierność przekazu, którą pragnęli zachować. Jakość i forma języka inskrypcji przynosi wiele cennych informacji o ich autorach, zleceńodawcach, wykonawcach i może nie warto wyrzekać się ich oddawania w edycji, nawet kiedy ta występuje w roli przewodnika.

Rezygnując z komentarza krytycznego, G. Kotłowski i E. Starek uczynili z publikacji przekaz jasny i adekwatny do zamierzonego charakteru. Pominęli określanie dokładnego miejsca występowania inskrypcji w obrębie zabytków, a także opis tych ostatnich. Wydaje się jednak, iż krótka charakterystyka tablic czy pomników nagrobnych podniosłaby walor publikacji. Kiedy czytamy napis, ważne jest również miejsce jego występowania – te dwa elementy stanowią bowiem całość – w przypadku pominięcia któregośkolwiek przekaz źródła-świadectwa staje się niepełny. Można się zastanowić również nad wprowadzeniem chociaż garści uwag o metryce – ostatecznie po taki przewodnik sięgnie raczej turysta nieprzeciętny.

Publikację wzbogaca schemat Bazyliki wraz z zaznaczonymi na nim miejscami występowania łacińskich inskrypcji – Autorzy ponumerowali je kolejno, rozpoczynając od nawy południowej świątyni, i taki też układ przyjęli, prezentując materiał. Odrębnie w książce wyjaśniono zagadnienia z zakresu chronologii związane z różną formą zapisu liczb oraz dat (s.101–103) oraz najczęściej spotykanych skrótów w treściach inskrypcji. Uzupełnieniem publikacji jest krótkie zestawienie bibliograficzne.

Walorem książki wartym podkreślenia jest jej szata graficzna – zarówno jakość papieru, jak i zdjęć. Możliwości techniczne, jak pokazali gdańscy Autorzy, pozwalają na opracowanie coraz doskonalszych edycji źródłowych, i to nie tylko wychodzących naprzeciw oczekiwaniom turystów, ale również badaczy. Wartość takich byłaby większa, gdyby zauważali je nie tylko konkretni adresaci, ale również naukowcy, dla których takie publikacje mogłyby stać się podstawą do szerszej dyskusji.

Prawdopodobnie Autorzy zamierzają przygotować edycję kolejnych łacińskich inskrypcji z obszaru miasta Gdańska – o czym świadczy konstrukcja tytułu książki. Miejmy nadzieję, że im się to uda, a jednocześnie ich praca stanie się inspiracją dla podjęcia podobnych przedsięwzięć przez różne środowiska badaczy polskich.

Katarzyna Madejska  
Lublin

**Chińska perspektywa na kontrowersje rytów Nicolasa Standaerta, *Chinese Voices in the Rites Controversy: Travelling Books, Community Networks, Intercultural Arguments*, Institutum Historicum Societatis Iesu, Roma 2012, ss. 473**

Zainteresowanie Dalekim Wschodem Europejczyków to intrygująca karta dziejów naszego kontynentu. Zasadnie można w tych zainteresowaniach, nie tylko zresztą Dalekim Wschodem, ale w ogóle innymi kontynentami, upatrywać jeden z wyznaczników tzw. ducha europejskiego, który doprowadził do stopniowego „odkrycia” nowych kontynentów i swoistego „eksportu” cywilizacji zachodniej Europy. Szczególnie ciekawi strategia propagowania chrześcijaństwa na nowo odkrytych ziemiach, zwykle połączona z ekspansją ekonomiczną, militarną i polityczną. Owa aktywność misjonarska europejskich Kościołów chrześcijańskich od dawna była przedmiotem uwagi historyków kościelnych, którzy wykorzystywali opis działalności swoich wspólnot religijnych do swoistej propagandy sukcesu i do wykazywania wyższości chrześcijaństwa wobec innych religii. Jak się wydaje, szczególnie aktywne były na tym polu różne wspólnoty zakonne Kościoła katolickiego, w tym zwłaszcza powstały w 1540 r. zakon jezuitów<sup>1</sup>. Historiografia laicka, szczególnie ta pozostająca pod wpływem idei oświeceniowych, spoglądała na owe „osiągnięcia” raczej sceptycznie, wystarczy tu przywołać nazwisko Woltera, który przedmiotem swych ataków czynił właśnie jezuitów. Zresztą również rodzima, polska twórczość antyjezuicka nie szczędziła jezuitom uwag krytycznych – by przywołać najbardziej błyskotliwego polemistę Jana Brozka, który w czwartej części swego pamfletu *Gratis*, zatytułowanej *Varietas*, właśnie misje ojców Societatis Iesu w Chinach uczynił celem swych krytycznych uwag. Mało natomiast wiemy, co o działalności misjonarzy europejskich sądzili i co sądzą historycy wywodzący się z krajów misyjnych.

Pierwszą próbę spojrzenia z perspektywy azjatyckiej w języku polskim podjął historyk wietnamski Duc Ha Nguyen, który w 2005 r. obronił doktorat na Wydziale Historycznym UW, właśnie na ten temat<sup>2</sup>. Mimo że rozprawa Nguyena poświęcona jest misjonarzom polskim, to trzeba powiedzieć, że w misjach Kościoła katolickiego narodowość misjonarzy nie odgrywała najmniejszej roli w ich konkretnych działaniach. Wręcz przeciwnie – wpisywały się one w odgórnie sterowane działania całkowicie podporządkowane polityce zakonów, będących bez reszty na usługach papieżstwa, i właśnie analiza tych mechanizmów jest jednym z głównych osiągnięć Autora. Wybitnie propagandowy charakter zarówno działalności misyjnej, jak i tekstów – listów, relacji itp. – nadsyłanych przez misjonarzy do Europy, kształtował obraz Dalekiego Wschodu, cechujący się pogardliwym stosunkiem do zastanych religii, co niejednokrotnie było źródłem konfliktów i prześladowań. Poznanie głosów z „drugiej strony”, a więc społeczności poddanej misjom, jest ciągle niespełnionym postulatem badawczym. Prawdopodobnie wtedy okazałoby się, że tzw. spór o rytę, a więc najlepiej znany wymiar misji katolickich w Chinach, był w gruncie rzeczy problemem europejskim, a ściślej wewnątrzkatolickim i niewiele obchodzącym Chińczyków. A to z kolei każe zasadnie myśleć, iż misje były bardziej potrzebne samemu Kościołowi katolickiemu niż „nawracanym” ludom. Przypomnijmy, że chodziło głównie o trzy kwestie związane z chińską kulturą: o ceremonie ku czci Konfucjusza, o kult przodków i o kwestie terminologiczne związane z nazwami Boga i nieba<sup>3</sup>. Niezrozumienie miejsca tych trzech wymiarów chińskich zwyczajów doprowadziło do rozej-

<sup>1</sup> Ogólne spojrzenie na charakter misji jezuickich w omawianym okresie można znaleźć w książce L. Clossey, *Salvation and Globalization in the Early Jesuit Missions*, Cambridge 2008.

<sup>2</sup> D. H. Nguyen, *Polscy misjonarze na Dalekim Wschodzie w XVII i XVIII wieku*, Warszawa 2006.

<sup>3</sup> Wielostronne omówienie kontrowersji związanych z odrzuceniem przez Watykan rytów chińskich zostało dokonane w zbiorowej pracy (zapis konferencji z 1992 r. w San Francisco) *The Chinese Rites Controversy: its History and Meaning*, wyd. D. Mungello, „Monumenta Sirica” XXXIII, Nettel 1994.

ścia się chrześcijaństwa i o wiele starszej religii, opartej na szacownej tradycji państwowej Chin. W istocie tak problem ujmuje Jan Konior, polski jezuita, który od wielu lat zajmuje się obecnością jezuitów polskich w Chinach właśnie. Otóż zdaniem Koniora: „Niepowodzenia misyjne jezuitów wynikały przede wszystkim z braku dialogu wewnątrz samego Kościoła, to znaczy prowadzenia negatywnej polityki Watykanu i papieży, którzy wówczas nie rozumieli rytów chińskich, nowych metod inkulturacji i dialogu z kulturą chińską<sup>74</sup>. Rację ma niewątpliwie polski badacz, gdy podsumowując trzy stulecia trwającą obecność chrześcijaństwa w Chinach, wyciąga takie oto wnioski: „Ta pobieżna analiza przebiegu sporu o ryty chińskie pokazuje smutną, ponad 300 lat trwającą historię konfliktu pomiędzy Chinami a Watykanem. Brak ze strony władz kościelnych twórczego ryzyka w ewangelizowaniu Chin odbił się niewątpliwie na dalszej historii chrześcijaństwa w tym kraju<sup>75</sup>. Jednak tym ogólnym stwierdzeniem do tej pory brak było podstawy materiałowej, czyli konkretnych danych, jak wyglądało owo odrzucenie przez Watykan i papieży nowatorskich metod pracy misyjarskiej wprowadzanej przez jezuitów. Tę lukę w pewnym stopniu wypełnia książka amerykańskiego historyka z Houston, który pokazał, jak bardzo zachodnie widzenie Chin wymaga korekty w świetle zachowanych źródeł chińskich<sup>6</sup>. Jednak materiały zupełnie wyjątkowe skrywa archiwum rzymskie jezuitów.

Opublikowana w 2012 r. książka Nicolasa Standarta *Chinese Voices in the Rites Controversy: Travelling Books, Community Networks, Intercultural Arguments*, wpisuje się właśnie w ten nowy, by tak rzec, rewizjonistyczny nurt

badania misji katolickich w Chinach. Jest to jednak książka zupełnie wyjątkowa. Nie tylko nie przypomina w niczym relacji z egzotycznych podróży, nie jest też zapisem nadzwyczajnych osiągnięć misjonarzy jezuitów w Chinach. Trudno w niej doszukać się przykładu tak modnych dzisiaj studiów postkolonialnych, z których wyłania się ponury obraz kulturowego imperializmu europejskiego, znajdującego uosobienie oczywiście w chrześcijaństwie (bo nie tylko w katolicyzmie przecież). Jezuitki badacz unika przymiotników, nie jest też skłonny ani do ocen, ani do wartościowań. Przedstawia filologiczną i historyczną analizę odkrytych tekstów. Potrafi je czytać jak nikt przed nim. Choć oczywiście sumiennie zdaje sprawę z wyników badań swoich poprzedników. Zresztą nie tylko sinologów, choć z powodów oczywistych to właśnie ich osiągnięcia są dla niego naturalnym punktem odniesienia. Zresztą sam dał się już poznać jako wytrawny znawca problematyki związanej z obecnością jezuitów w Chinach. Wystarczy wspomnieć jego artykuł, w którym każe na nowo przemyśleć zaniechany w XVIII w. dialog z duchową tradycją największego kraju świata<sup>7</sup>, czy esej poświęcony wpływowi Chińczyków na samych jezuitów<sup>8</sup>. Ważny jest również syntetyczny esej, pomieszczony w szóstym tomie wielotomowej prestiżowej *Historii chrześcijaństwa* opublikowanej przez wydawnictwo Cambridge University Press, a omawiający wpływ chińskiej kultury na chrześcijaństwo<sup>9</sup>. Krótko mówiąc, Autorem omawianej książki jest jeden z najbardziej kompetentnych znawców historii chrześcijaństwa w Chinach. Być może właśnie z powodu licznych publikacji poświęconych omawianej problematyce książka Nicolasa Standarta może

<sup>4</sup> J. Konior, *Historia polsko-chińskich kontaktów kulturalnych w XVII w. (na przykładzie misji jezuitów)*, Kraków 2013, s. 318.

<sup>5</sup> *Ibid.*, s. 216–217.

<sup>6</sup> R. Hart, *Imagined Civilizations. China, the West, and Their First Encounter*, Baltimore 2013.

<sup>7</sup> N. Standaert, *Jesuits in China*, [w:] *The Cambridge Companion to the Jesuits*, wyd. Th. Worcester, Cambridge 2008, s. 169–185.

<sup>8</sup> Idem, *Jesuit Corporate Culture as Shaped by the Chinese*, [w:] *The Jesuits, Culture, Science, and Arts 1540–1773*, wyd. J. O'Malley, Toronto 1999, s. 352–363.

<sup>9</sup> Idem, *Christianity shaped by the Chinese*, [w:] *The Cambridge History of Christianity. Reform and Expansion 1500–1660*, wyd. R. Po-Chia Hsia, Cambridge 2008, s. 558–576.

robić wrażenie nazbyt syntetycznej i zakładającej znajomość wielu szczegółowych kwestii, do których Autor odsyła w przypisach.

Próżno też szukać w omawianej książce wielkich postaci misji jezuickich w Chinach, jak Matteo Ricci (1552–1610), który najmocniej określił kształt obecności jezuitów w Chinach, dostosowując chrześcijaństwo do kultury konfucjańskiej, zwłaszcza redukując jego obecność w przestrzeni publicznej i ograniczając się do popularyzacji zachodnich nauk ścisłych. Podobnie było w przypadku najwybitniejszego bodajże następcy Ricciego na dworze cesarza chińskiego, belgijskiego jezuita Ferdynanda Verbiesta (1623–1688), który przez lata swoimi wynalazkami technicznymi wprawiał w osłupienie samego cesarza i jego urzędników. Standaert nie wspomina też o znanym polskim misjonarzu i uczonym Michale Boymie (1612–1659), którego atlas roślin *Flora Sinensis* i znakomite mapy Chin były przez lata ważnym źródłem informacji o Państwie Środka dla Europejczyków, w tym dla wybitnego uczonego przez lata pracującego w słynnym Kolegium Rzymskim Atanasiusa Kirchera (1602–1680), autora m.in. książki poświęconej Chinom, *China Monumentis*, do której włączył wiele informacji dostarczonych mu właśnie przez Michała Boyma. Co ciekawe natomiast – to wzmianka o innym jezuitcie polskim, Andrzeju Radominie (1596–1631), który doceniał wartość propagandową książki i przesyłał je do Rzymu w przekonaniu, że staną się ozdobą wielu bibliotek. Te wszystkie ciekawostki zainteresowany czytelnik może znaleźć w wielu popularnonaukowych książkach. Najbardziej znaną i tłumaczoną na wiele języków jest publikacja F. A. Plattnera *Gdy Europa szukała Azji*, do której polski wydawca dodał również informacje o polskich misjonarzach jezuickich<sup>10</sup>.

Ten przydługi wstęp do recenzji książki Standaerta był konieczny, by Czytelnik zdał sobie sprawę z jej szczególnego charakteru. Tak więc o czym jest ta książka? Otóż tak jak głosi tytuł – przedstawia chińskie głosy, które nie tylko nie były usłyszane w czasie, kiedy je Chiń-

czy artykułowali, ale zostały właściwie przed wysłuchaniem – odrzucone. Dla ówczesnych papieży nie przedstawiały żadnej wartości, owszem, uznali je oni za szkodliwe, heretyckie, a nawet bluźniercze tylko dlatego, że były to głosy spoza Watykanu. Do dzisiaj przeleżały nietknięte przez historyków w centralnym archiwum jezuickim w Rzymie, choć wiadomości o nich były znane w całej Europie, lecz i one przeleżały do tej pory w rozproszonych w całej Europie archiwach. Przede wszystkim kościelnych (jezuickich i watykańskich), ale również państwowych (Praga, Paryż, Lizbona), albo w trudno dostępnych zbiorach dokumentów. Zaslugą Standaerta jest nie tylko ich materialne przypomnienie (znakomite reprodukcje chińskich oryginałów i części łacińskich tłumaczeń to duże osiągnięcie edytorskie i ogromna przysługa dla znawców chińskiego pisma), ale także szczegółowe odtworzenie kontekstu ich powstania. Właśnie ta swoista archeologia wiedzy rzuca nowe światło nie tylko na stan ówczesnego chrześcijaństwa w Chinach, ale i na stosunki między chrześcijanami i dworem cesarskim, między poszczególnymi grupami chrześcijan i wreszcie między Chinami i Watykanem. Tak więc belgijski jezuita przypomniał istotny wymiar samego katolicyzmu i jego dwuznacznej obecności w tzw. krajach misyjnych na przykładzie swoistego *case study*. Otóż na początku XVIII w. dwóch jezuickich misjonarzy, delegatów wiceprowincała misji w Chinach Belgę Antoine’a Thomasa (1644–1709), Francuz François Noel (1651–1729) i Niemiec Kasper Castner (1665–1709), zostało wysłanych do Klemensa XI (papież 1700–1721) z niecodzienną misją. Mieli przekonać papieża, że misjonarska praktyka jezuitów, przeciwnie do tego, co mówili ich wrogowie, jest zgodna z ortodoksją katolicką. Uzasadnieniem były bardzo liczne dokumenty, nie tylko dekrety poprzedników papieża Klemensa XI, ale – i to stanowiło nowość – liczne głosy chrześcijan chińskich.

Historia opisana i skomentowana w książce miała swoją prehistorię. Otóż w 1680 r. jezuicki misjonarz, Portugalczyk Simao Rodriguez (1645–1704), zwrócił się do chińskiego chrze-

<sup>10</sup> F. A. Plattner, *Gdy Europa szukała Azji*, Kraków 1975.

ścijanina Paula Yan Mo z prośbą o napisanie polemiki z traktatem o ofiarach dominikanina Hiszpana Francisca Vary (1627–1687, również misjonarza w Chinach), który krytykował chińskich chrześcijan za składanie ofiar ku czci Konfucjusza i przodków, zarzucając im idolatrię. Hiszpański dominikanin był też autorem gramatyki języka chińskiego (*Arte de la lengua mandarina*). Paul Yan Mo był świetnie obeznany z klasyczną literaturą filozoficzną Chin, należał do drugiego już pokolenia chrześcijan rodzimych. Jego rozprawa z zarzutami Varo znalazła się w bogatej bibliotece, którą w 1702 r. zabrali ze sobą do Rzymu delegaci wiceprowincjała. W tym samym roku chiński jezuita Blasius Liu Younde Verbist (1628–1707), który był wychowankiem Ferdynanda Verbiesta i dzięki któremu najpierw się ochrzcił, a potem wstąpił do jezuitów (z szacunku do niego przybrał również jego nazwisko), wystosował w imieniu swojej wspólnoty list do papieża Klemensa XI (podpisało go 19 innych chrześcijan) z prośbą o „złagodzenie świętej nauki i zatroszczenie się o zbawienie dusz chińskich”. Powodem napisania tego listu był zakaz sprawowania ofiar ku czci Konfucjusza i przodków. Tym biskupem był nuncjusz apostolski Charles Maigrot (1652–1730), główny przeciwnik jezuickich metod misjonarskich. Maigrot słabo znał język i kulturę chińską, a swoją wiedzę o rytach czerpał ze wspomnianego traktatu Varo, jednak to on właśnie przekonał papieża, a nie „głosy chińskie”.

List Blasiusa Liu nie był odosobnionym apelem skierowanym do papieża. W sumie wiceprowincjał Thomas zebrał takich listów około 60 z 430 podpisami. Wszystkie zostały przetłumaczone, wysłane do Rzymu w ciągu 1704 r. i przekazane papieżowi wraz ze wspomnianą biblioteczką najważniejszych ksiązek klasyki tradycji chińskiej. Ich zawartość była dość podobna, a nawet schematycznie powtarzały się w nich te same stwierdzenia, co wskazywało na ich wspólną inspirację czy akcję jezuitów. François Noel zebrał je i sporządził poręczną syntezę zatytułowaną *Summarum Nouvorum Autenticorum Testimonium*. Drugi, równie ważny dla sprawy rytów, był sporządzony również przez Noela wypis z klasyków chińskich *Sum-*

*marum Noissimorum Testimonium Sinensium*. Oba zostały przedstawione papieżowi Klemensowi XI 27 sierpnia 1704 r. wraz z całym szeregiem dokumentów poprzednich papieży potwierdzających ortodoksyjność stanowiska jezuitów. Mimo tych ogromnych wysiłków misja Noela i Castnera okazała się kompletnym fiaskiem. Papież Klemens XI 20 listopada 1704 r. wydał dokument *Cum Deus Optimus*, który zakazywał praktyk duszpasterskich, jakie stosowali jezuici. Obaj misjonarze wrócili do Chin w 1707 r. z niczym. Cesarz Kangxi (1654–1722), poirytowany, wyrzucił misjonarzy chrześcijańskich. Trudno się temu dziwić, jego *Brevis Relatio* z 1700 r. w całej rozciągłości popierało jezuitów.

Mimo tej porażki sama misja jest ważna, gdyż po raz pierwszy w historii katolicyzmu tak liczne głosy chińskich chrześcijan zostały włączone do debaty na tematy doktrynalne oraz tak znaczący wybór klasyków kultury chińskiej został użyty w międzyreligijnej i międzykulturowej dyskusji. To jest właśnie główny powód, dla którego warto się wsłuchać w ich oryginalne (nawet w tłumaczeniu na język angielski dla tych, którym chiński język jest niedostępny) brzmienie. Poza tym, niezależnie od końcowego wyniku misji z 1704 r., warto poznać drogi, jakimi wówczas podróżowały książki (tej sprawie poświęcony jest jeden z rozdziałów rozprawy), które stanowiły istotną część ówczesnej wspólnoty intelektualistów (*Republica literarum*). Niezależnie od stawianych trudności i mnożonych przeszkód przez instytucje kościelne znakomicie się ona porozumiewała i tworzyła sieć komunikacyjną (to też jeden z rozdziałów książki Standaerta). Jej uczestnicy, wbrew zakazom i nakazom, wzajemnie o sobie wiedzieli i szanowali przede wszystkim kompetencje kulturowe. Jest to też jeszcze jeden przyczynek pokazujący daremność wszelkich praktyk ograniczających wymianę intelektualną. Co ciekawe, w tych ograniczeniach celowały ośrodki europejskie (kościelne), zaś chińskie władze – odmiennie – imponowały otwartością i ciekawością. Nie sposób powstrzymać się od ogólniejszej refleksji na temat teologii katolickiej po Soborze Trydenckim (1546–1563), który określił myślenie Kościoła katolickiego aż do

XX w. Jak słusznie podkreślał John O'Malley, autor książki poświęconej temu soborowi, jego ograniczona wartość związana była z językiem scholastycznym pozbawionym wrażliwości na kontekst i odmienność kulturową. To sprawiło, że ówczesny katolicyzm nie był w stanie nawiązać twórczego dialogu z polemicznymi pismami Marcina Lutra czy Jana Kalwina. Ten brak odrobienia lekcji humanizmu był nie tylko jednym z głównych powodów rozejścia się oczekiwań reformatorów i nadwornych teologów papieskich w Europie, ale przyczynił się do klęski misyjnej w Azji<sup>11</sup>. Dzięki książce Nicolasa Standaerta wiemy, jak ta klęska wyglądała w praktyce. Pokazuje on bowiem, jak konkretna wiedza na temat kontrowersyjnych rytów chińskich była zdobywana, rozpowszechniana i kto miał do niej wówczas dostęp. Dzięki bogactwu zgromadzonego materiału i podzieleniu go na trzy główne tematy: podróżujące książki, wspólnota objęta łącznością wymiany i analizie międzykulturowej, Czytelnik może śledzić fascynujący epizod pierwszego spotkania Wschodu i Zachodu. Może to zrobić, dotykając niejako oryginalnych źródeł, których pełny zestaw został dołączony do tekstu analitycznego. To spotkanie zakończyło się niepowodzeniem przede wszystkim z powodu braku kompetencji kulturowych i teologicznych papieża i jego wysokich urzędników. Jednak poznanie mechanizmów tej klęski jest niezwykle pouczające również ze względu na dzisiejsze procesy globalizacyjne naznaczone zarówno twórczą wymianą kulturową, jak i rosnącą polaryzacją i fundamentalizacją poszczególnych kultur i religii. Sam Nicolas Standaert jest autorem wielu studiów na temat obecności jezuitów w Chinach, do których odniesienia można znaleźć w zamieszczonej w książce bibliografii, warto też przypomnieć jego książeczkę o inkulturacji, w której przedstawił przykłady twórczych spotkań chrześcijaństwa z innymi kulturami i podał też ciekawą definicję teologiczną tego pojęcia, które weszło do języka teologii katolickiej dopiero w latach 70. XX w., głównie dzięki jezuitom: „Inkultura-

cja w sensie teologicznym polega na wcieleniu ewangelicznego życia i przesłania w szczególny kontekst kultury poprzez członków tej kultury. Dzieje się to w taki sposób, że doświadczenie chrześcijańskie jest wyrażone nie tylko w pojęciach tej kultury (wtedy mielibyśmy do czynienia ze zwykłą adaptacją), ale tak, że staje się ono źródłem inspiracji, kierunku i ujednolicenia. Dokonuje też jej transformacji i takiego przekształcenia, że przynosi 'nowe stworzenie', które nie tylko wzbogaca tę konkretną kulturę, ale cały Kościół"<sup>12</sup>. Przykładem takiej właśnie inkulturacji *avant la lettre* były misje jezuitów w Chinach od końca XVI do początków XVIII stulecia.

Dramat wielkiego nieporozumienia rozegrał się w Rzymie, choć dotyczył Chin. Co ciekawe, stroną w sporze nie byli Chińczycy z ich cesarzem Kangxi na czele, ale misjonarze jezuitów i urzędnicy papiescy o ograniczonej znajomości realiów kulturowych Państwa Środka. Choć strona broniąca prawomyślności praktyk misjonarskich dobrze się do konfrontacji przygotowała, to jej przegrana była przesądzona, zanim w ogóle doszło do spotkania. Rzeczywistość i fakty przegrały ze sztywnym dogmatyzmem i źle pojętym autorytetem władzy papieskiej. Rozmiary tej klęski stają się bardziej widoczne, gdy uzmysłowimy sobie, jak wyglądała sytuacja chrześcijan w Chinach u progu XVIII w., a więc po ponad sto lat trwającej misji jezuitów, którą w Pekinie rozpoczął w 1601 r. Mateo Ricci, obejmując funkcję głównego astronoma cesarza.

A oto, jak niektóre z ogniw tego dramatu wyglądały. Ich poznanie rzuca nowe światło na przyczyny rozejścia się katolicyzmu ze znacznie od niego starszą cywilizacją chińską w XVIII stuleciu. Przede wszystkim warto sobie uświadomić, że przesłane do papieża listy były czymś więcej niż świadectwem protestu wobec krzywdzących praktyk nuncjusza apostolskiego Charles'a Maigrota czy opartych na niezrozumieniu istoty rytów chińskich traktatach dominikanina Francisca Varo. Nie można

<sup>11</sup> J. W. O'Malley, *Trent. What Happened at the Council*, Harvard University Press, Cambridge 2013. Por. moją recenzję w „Res Historica”, 35, 2013, s. 291–295.

<sup>12</sup> N. Standaert, *Inculturation. The Gospel and Cultures*, Pasay City (Filipiny) 1994, s. 99.

wykluczyć, że duży wpływ na sposób postrzegania rytów chińskich przez Varo miał jego konflikt z cesarzem Kangxi, który go wydalili z granic Państwa Środka (od 1671–1672 przebywał na wygnaniu w Kantonie, wówczas poza wpływami dynastii Qing), co nie przeszkodziło mu w piastowaniu wysokiego urzędu w hierarchii katolickiej (pełnił wielokrotnie funkcję prowincjała dominikanów, a tuż przed śmiercią został mianowany w 1687 r. wikariuszem apostołskim prowincji Guangdong, Yunan i Guangxi). Można więc w nich widzieć również ślad konfliktu między niektórymi przedstawicielami hierarchii (niektórymi, bo jezuitami też byli biskupami) i jezuitami, z jednej strony, oraz próbę obrony własnej tożsamości i prawa do odmienności kulturowej lokalnych wspólnot chińskich, z drugiej. W tym sensie mogą służyć do poznania biurokratycznych procedur (Chińczycy mieli i mają wielki szacunek do wszelkich instytucji i regulacji prawnych), które odsłaniają wielką siłę lokalnego chrześcijaństwa. Warto przypomnieć, że było ono już wtedy mocno zakorzenione w kontekście Chin naznaczonych przemożną obecnością myśli Konfucjusza, uznawanego za ojca wszystkich Chińczyków, i świadome własnej siły.

Ale nie tylko ten aspekt był ważny. Istotne są również procesy kulturowego dialogu wykraczające poza kontrowersje wewnątrz Kościoła katolickiego. Jak podkreśla Standaert, biblioteka chińskich ksiązek przywieziona przez jezuitów do Rzymu oraz chińskie książki nadsyłane do różnych bibliotek europejskich przez misjonarzy (nie tylko przecież jezuitów) pracujących w Chinach od początku XVII w. były nie tylko przedmiotem ciekawości, ale i konkretnej wiedzy, która przybliżała nowy świat i zmieniała naukowe przyzwyczajenia Europejczyków. Nawet jeśli negocjacje prowadzone w Watykanie w 1704 r. z papieżem przez Noela i Castnera zakończyły się porażką, to odbiły się one szerokim echem w głównych ośrodkach akademickich ówczesnej Europy i zakwestionowały tradycyjny, eurocentryczny sposób myślenia w przeddzień przełomu oświeceniowego. A stało się to na wielu poziomach. Przede wszystkim chińskie książki budziły zaciekawienie nie tylko ze względu na egzotyczny i odmienny zapis

alfabetyczny. Ich jakość już wtedy podważała przeświadczenie o prymacie Gutenberga we wprowadzeniu druku (w istocie dla Matteo Ricciego nie ulegało żadnej wątpliwości, że w Chinach został on wprowadzony ponad 300 lat wcześniej). Zawartość klasycznych dzieł chińskich sprawiała trudność w ich klasyfikacji. Czy należało je traktować jako ‘filozofię’, ‘historię’ czy ‘literaturę’? Czy dzieła napisane przez chińskich chrześcijan nieposiadających teologicznego przygotowania można traktować jako prawdziwą teologię? Poza tym te książki burzyły tradycyjne rozumienie centrum i peryferii. Książki, które przywędrowały do Rzymu z Chin, znalazły się w centrum i przemówiły swoim własnym głosem. To już nie były relacje misjonarzy opowiadających o Chinach z własnej, rzymskiej perspektywy, ale ten chiński głos zabrzmiał tonem niezmiennym procesem mediacji kulturowej czy religijnej.

Inne kwestie związane są z przesłanymi listami, a więc *Summarum Nouvorum Autenticorum Testimonium*. Poza czysto materialnym wymiarem pozwalają one poznać stosunki wewnątrz wspólnot chrześcijańskich. Mówią, kto był inicjatorem pisania listów (wiceprowincjał jezuitów), kto je kopiował i podpisywał w różnych miastach i prowincjach Państwa Środka. Jacy byli katechiści, kim byli liderzy wspólnot, jacy misjonarze i gdzie wówczas działali. Wreszcie stanowią dodatkową informację (bo te informacje znamy również z innych źródeł) o liczbie chrześcijan, o konwersjach, o pochodzeniu społecznym nowych członków wspólnot chrześcijańskich. Krótko mówiąc, listy dostarczają wielu informacji na temat społecznej struktury i sposobów porozumiewania się autorów listów w Chinach na początku XVIII w.

A oto jak wyglądała statystyka ówczesnego Kościoła katolickiego w Chinach. Około roku 1700 było w Chinach blisko 200 tys. chrześcijan, z którymi pracowało 135 misjonarzy, większa część z nich to byli jezuiti. Gdy w 1701 r. dołączyła do nich grupa 13 jezuitów z Francji, ich liczba wzrosła do 80. Standaert podaje dokładne dane (tabele i szczegółowe zestawienia to mocna strona jego badań historycznych), gdzie i w jakim charakterze byli zatrudnieni. Najwięcej, co oczywiste, pracowało w Pekinie,



zatrudnieni byli przez dwór cesarski. To właśnie z tego środowiska najwięcej listów zostało wysłanych do papieża, na nich też widnieje najwięcej podpisów wysokiej rangi urzędników. W tym samym zespole dokumentów znalazło się również *Brevis Relation*, autoryzowany przez cesarza Kangxi dokument, w którym cesarz w pełni akceptował i popierał jezuicką wizję rytów. Znalazły się tam również pozytywne opinie wpływowych intelektualistów chińskich, z których część nie była nawet chrześcijanami.

Nawet jeśli szczegółowa analiza przesłanych do Rzymu 60 listów podpisanych przez 430 sygnatariuszy wskazuje na daleko idący schematyzm i powtarzające się argumenty mające przekonać papieża, że rytury sprawowane przez chrześcijan chińskich są zgodne z katolicką ortodoksją (ryty ku czci Konfucjusza nie mają charakteru religijnego, a wyrażają szacunek dla jego ludzkiej mądrości, a obrzędy ku czci zmarłych przodków są jedynie wyrazem synowskiego oddania i pamięci o zmarłych rodzicach), to można w nich odczytać wiele wysoce zindywidualizowanych historii chińskich chrześcijan. Sam fakt napisania i zredagowania tych listów był wynikiem długich dyskusji i narad we wspólnotach, był rodzajem ich dyskusji z własną tradycją chińską, którą chcieli pogodzić z wymogami nowej wiary chrześcijańskiej. Standaert nazywa ten proces wynikiem spotkania „pomiędzy” własną tradycją i nowym, przyjętym za własny systemem wartości. Jest to dla Autora szczególnie przypadek paradygmatycznego tworzenia historii ludzkości w ogóle, która polega właśnie na spotkaniu konkretnych ludzi w konkretnym miejscu i w konkretnym czasie. Jak się wydaje, w sposób konceptualny najlepiej wyraża to filozofia oparta właśnie na tym kluczowym pojęciu „pomiędzy”. To pojęcie „pomiędzy” wskazuje na fakt, że wiele wymiarów ludzkiej aktywności realizuje się właśnie poprzez tworzenie przestrzeni „pomiędzy” ludźmi, którzy się spotykają. Mówiąc wprost, historia jest zapisem takich spotkań. Gdy do nich nie dochodzi, ten ludzki wymiar historii

zostaje zagubiony. Oczywiście, ów filozoficzny problem wykracza poza ramy recenzji, jednak należało o nim wspomnieć, gdyż wskazuje, na czym ostatecznie polegał dramat spotkania, do którego nie doszło. W przypisie Nicolas Standaert przywołuje książkę irlandzkiego filozofa Williama Desmonda. Wypracował on cały system filozoficzny, opierając się na pojęciu „pomiędzy”, który nazywa „filozofią metaxologiczną” (od greckiego *metaxu* – pomiędzy). Jej praktycznym zastosowaniem jest mała książka poświęcona kondycji kultury irlandzkiej, wyrosłej właśnie w dialogu z innymi<sup>13</sup>. Podobnie działa się w Chinach.

Podsumowując uwagi na temat „niesłyszanych głosów chińskich”, chciałbym przekazać uwagi natury ogólniejszej. Otóż szczególna sytuacja misjonarzy jezuickich, którzy przyjechali do Chin pod koniec XVI w., polegała na konieczności skonfrontowania się ze zjawiskiem, które Erik Zürcher nazwał „imperatywem kulturowym”<sup>14</sup>. Należy ono do głębokiej struktury życia religijnego w późnych cesarskich Chinach. Żadna z przychodzących z zewnątrz religii nie miała szans na zapuszczenie korzeni, jeśli nie skonfrontowała się z dominującą formą cywilizacyjną, którą był konfucjanizm. Jeśli taka religia nie chciała być naznaczona stygmatem heterodoksji i jeśli nie chciała być traktowana jako wywrotowa sekta, to musiała dowieść, że może być uzgodniona z dominującym systemem konfucjańskim. Tak więc chrześcijaństwo, jako peryferyjna i przychodząca z zewnątrz religia, musiało się dostosować do oczekiwania dominującej kultury. Tak też w XVII w. chrześcijaństwo, podobnie jak inne religie pochodzące z zewnątrz, jak buddyzm, judaizm i islam, musiało udowodnić: 1) że jest zgodne z konfucjanizmem, 2) że jest wobec niego komplementarne (tak naprawdę wzbogaca i dopełnia naukę Konfucjusza), 3) że może ugruntować własne przekonania na przesłankach starszej cywilizacji chińskiej, 4) że przejmuje chińskie zwyczaje i rytuały.

<sup>13</sup> W. Desmond, *Beeing Between: Conditio of Irish Thought*, Galway 2008.

<sup>14</sup> E. Zürcher, *Jesuit Accomodation and the Chinese Cultural Imperative*, [w:] *The Chinese Rites Controversy: its History and Meaning*, s. 31–64.

Temu wymogowi kulturowego imperatywu sprostali swoją wizją inkulturacji chrześcijaństwa do chińskich realiów jezuiti. W analizowanych w książce tekstach ta wizja została rozpisana na „chińskie głosy” chrześcijan ukształtowanych przez tę jezuitką wizję. Głosy te nie tyle broniły chrześcijaństwa przed lokalną tradycją, ile raczej broniły swojej konfucjańskiej tradycji przed obcym autorytetem Rzymu. Brak zrozumienia tego cywilizacyjnego wymogu chwili ze strony przedstawicieli państwa i samego papieża Klemensa XI sprawił, że głosy te nie tylko nie zostały ani usłyszane, ani zrozumiane, ale wręcz je odrzucono jako

heretyckie i niezgodne z ortodoksją katolicką. W ten sposób nie tylko nie doszło do spotkania Wschodu z Zachodem, ale został zbudowany mur wzajemnej wrogości i nieufności, którego zburzenie nie jest ani łatwe, ani możliwe w najbliższej przyszłości. Niemniej jednak fakt, że na ten temat książkę napisał jezuita, a więc duchowy spadkobierca wielkiego wizjonera Matteo Ricciego, budzi nadzieję, że jeszcze nie wszystko zostało stracone.

Stanisław Obirek  
Warszawa

\* \* \*

**František Horák (red.), Josef Rozman, Martin Hošek, Radko Loučka, Gabriela Malá, Vít Mareš, Michal Milerski, *České ovčáctví – minulost, současnost, výhledy*, [Wyd.] Svaz chovatelů ovcí a koz v ČR, Brno 2011, ss. 514**

*České ovčáctví – minulost, současnost, výhledy* to książka, która dotyczy hodowli owiec zarówno w przeszłości, jak i współcześnie na terytorium Czech. Została ona napisana w języku czeskim. Jest publikacją oryginalną, bowiem przedstawia bardzo skrupulatnie historię owczarstwa oraz pasterstwa, które rozwijało się na przestrzeni dziejów i nadal kultywowane jest w kraju naszego sąsiada. Pod względem hodowli owiec Czechy stanowią obecnie ewenement na tle innych krajów europejskich, ponieważ pogłowie hodowanych tu stad owiec utrzymuje się na stałym poziomie. Natomiast w państwach Europy Zachodniej liczba stad tych zwierząt maleje. Jest to spowodowane w znacznej mierze nieopłacalnością, a także niechęcią młodego pokolenia do przejmowania gospodarstw rodziców czy dziadków i oddania się zajęciu nieprzynoszącemu zysków – pasterstwu. Aczkolwiek w Czechach zjawisko to również występuje, jednak ma bardzo ograniczony zakres, gdyż kraj ten postawił na pielęgnowanie tradycji pasterskich obecnych od kilkudziesięciu wieków i podtrzymywanie ich jako atrakcji w postaci oryginalnego potencjału turystycznego.

Omawiana publikacja została przygotowana jako praca zbiorowa pod redakcją Františka Horáka. Owa monografia to wynik współpracy naukowców należących do przedstawicieli dziedzin przyrodniczych, społecznych i ścisłych, w których można wyróżnić weterynarię, kynologię, genetykę, ekonomię oraz statystykę. Jednakże można powiedzieć, że sama treść tej książki jest interdyscyplinarna, ponieważ w znacznej mierze odnosi się do ukazania dziejów hodowli owiec w Czechach i relacji zachodzących pomiędzy człowiekiem a tymi zwierzętami w przeszłości. Część historyczna została opracowana przez miłośników historii, którym leży na sercu popularyzowanie owej wiedzy oraz chęć dotarcia do jak największego grona odbiorców.

Monografia składa się z dwudziestu czterech rozdziałów, które poprzedza objaśnienie najczęściej stosowanych skrótów w książce, recenzja autorstwa Václava Jakubeca, a także przedmowa F. Horáka. Dalszą część publikacji stanowi komponent historyczny, zajmujący połowę objętości książki. Składa się na niego szczegółowa analiza rozwoju hodowli owiec w Czechach, rozpoczęta od czasów prehisto-

rycznych aż po nam współczesne. Można wyróżnić tu dwa etapy. Pierwszy z nich tworzą okresy obejmujące chronologicznie czasy prehistoryczne, starożytność, średniowiecze i nowożytność aż po rok 1918. Została tu przedstawiona nie tylko sama historia rozwoju hodowli owiec na obszarze Czech i Moraw we wspomnianych wyżej okresach, ale również zwrócono uwagę na rolę udomowienia zwierząt oraz prowadzenia hodowli na terenie innych krajów i kontynentów. Należy wymienić takie państwa, jak Egipt, Grecja, Rzym oraz kontynenty: Australię, Amerykę Północną i Europę. Ponadto przybliżono styl życia pasterzy, a także opisano dość dokładnie czynności związane bezpośrednio z hodowlą owiec, ich wypasem i karmieniem, zwrócono też uwagę na zasady rozmnażania zwierząt oraz przetwórstwo wełny. Oprócz tego opisano, w jaki sposób prowadzona hodowla owiec wpływała na nazewnictwo, kulturę, obyczaje, muzykę i sztukę. W tym miejscu można wymienić toponomastykę, do której zaliczymy tworzenie nazewnictwa zamieszkałych obszarów nawiązujących w swej treści do zajęć mieszkańców trudniących się owczarstwem. Motyw życia pasterzy bardzo chętnie był wykorzystywany przez artystów, którzy przyczynili się do wprowadzenia w malarstwie i rzeźbiarstwie nowych wątków przez tworzenie scen z życia codziennego i uwydatniania walorów krajobrazowych. Pasterze wnieśli swój udział także w wykształcenie się specyficznej muzyki, powstawanie nowych instrumentów z wykorzystaniem kości, rogów i skór owiec oraz udoskonalenie technik hodowlanych. Pod wpływem popularności pasterstwa również heraldyka przyjęła nowe motywy, a na herbach zaczęły pojawiać się wizerunki owiec. Ponadto powstawały różnego rodzaju instrukcje gospodarskie, monografie dotyczące hodowli zwierząt oraz różnorakie podręczniki i poradniki skierowane do hodowców. Warto też wspomnieć, iż osobny rozdział poświęcony został fali osadnictwa wołoskiego w XV i XVI w., które na terytorium Czech przybyło z obszaru dolnego Dunaju. W rozdziale tym poruszono kwestie dotyczące rytmu życia Wołochów, sposobu wypasu, hodowli i dojenia owiec oraz produkcji serów.

Prócz informacji *stricte* historycznych i etnograficznych skupiono się na ukazaniu procesu wykształcenia się specjalnej rasy owiec merynosowych. Hodowla wspomnianej wyżej odmiany zwierząt w Czechach odniosła znaczący sukces, w wyniku czego stała się sławna na całą Europę. Ta część omawianej publikacji obejmuje dwanaście rozdziałów. Dziewięć z nich w całości zostały przygotowane przez Josefa Rozmana, a trzy kolejne opracowane we współpracy z F. Horákiem (rozdział czwarty, piąty i ósmy).

Z kolei druga część historyczna dotyczy rozwoju owczarstwa po I wojnie światowej aż do czasów nam współczesnych. W tym fragmencie przedstawiono wzmoczony rozwój hodowli owiec spowodowany rosnącym zapotrzebowaniem na wełnę, uspołecznieniem rolnictwa i przejściem od gospodarki centralnie zarządzanej do rynkowej po 1990 r. W głównej mierze ta część została oparta na danych statystycznych zamieszczonych w tabelach, na wykresach i rycinach. Powyższe informacje zawarto w rozdziale trzynastym, podzielonym na osiem podrozdziałów, pióra F. Horáka.

W dalszej części analizowanej publikacji autorzy, tacy jak: F. Horák, Vít Mareš, Michal Milerski, Martin Hošek i Radko Loučka, w kolejnych czterech rozdziałach (od czternastego do osiemnastego) skupili się na różnorodnej problematyce związanej z gospodarczymi aspektami hodowli owiec oraz popularyzacji tej gałęzi rolnictwa. Podjęte przez nich kwestie odnoszą się do porównania produkcji wełny, mięsa, mleka, skór oraz produktów ubocznych powstałych przy hodowli owiec od lat dwudziestych XX w. aż do czasów współczesnych. Ponadto skoncentrowano się na omówieniu spraw związanych z genetyką, hodowlą owiec i wyborem ras hodowlanych. Szczegółowo zaprezentowano dane statystyczne dotyczące hodowli bydła, kóz, koni, owiec i świń na każdym kontynencie na przestrzeni ostatniego półwiecza. Również przedstawione zostały dane dotyczące się światowej produkcji oraz średniego spożycia produktów zwierzęcych. Oprócz tego przybliżono czytelnikom sposoby powrotu do pasterskich tradycji, które występują na terytorium państwa czeskiego od wieków (np. przez organizowanie

licznych konkursów), a także zapoznano czytelników z działalnością związków oraz stowarzyszeń hodowców owiec i kóz w Czechach i ich współpracą z Unią Europejską.

Następny rozdział, już dziewiętnasty – autorstwa Gabrieli Malá, koncentruje się na ocenie roli badań związanych z problemami występującymi przy prowadzeniu hodowli owiec. Wspomniana wyżej Autorka przedstawia listę publikacji oraz wykaz prowadzonych projektów badawczych w Czechach na przestrzeni ostatnich sześćdziesięciu lat.

W rozdziale dwudziestym F. Horák oraz M. Milerski przedstawili perspektywy hodowli owiec w Czechach w trzecim tysiącleciu, pokazali też alternatywne kierunki rozwoju owczarstwa, które mogą wystąpić w przyszłości. Pierwszy nurt to hodowla niewielkiej liczby owiec w celu zachowania walorów krajobrazowych i ekologicznych środowiska przez utrzymanie łąk i pastwisk służących do wypasu tych zwierząt. Natomiast drugi kierunek związany jest już z wyspecjalizowaną hodowlą owiec zmierzającą do prowadzenia jej przez cały rok. Wymaga to jednak ogromnych nakładów pracy, współpracy z profesjonalnymi pasterzami, posiadającymi wyszkolone owczarki pasterskie, a także wprowadzania do programów hodowlanych genetyki molekularnej, która byłaby pomocna przy wyborze ras i rozroście liczebnym stad. Dodatkowo wymienieni wyżej Autorzy ukazali proponowane wymagania dla produktów otrzymywanych z prowadzonej hodowli zwierząt, przypuszczalny rozrost liczebny stad hodowlanych, a także prognozy dotyczące popularności hodowanych ras owiec.

W dalszej części publikacji zamieszczono streszczenie całej książki w dwóch językach. Pierwsze z nich w języku czeskim oraz drugie w języku angielskim, które tworzą odrębne dwa rozdziały. Następnie umieszczono alfabetyczny wykaz wykorzystanej literatury w całej monografii. W treści książki brakuje przypisów, które z pewnością byłyby pomocne w poszukiwaniu potrzebnych informacji. Jednakże publikacja ma charakter popularnonaukowy i stąd zrozumiały brak pełnego aparatu naukowego.

Na samym końcu, jako dwudziesty czwarty rozdział, dodano obszerny załącznik składa-

jący się z 377 zdjęć, który z pewnością przyciągnie uwagę każdego czytelnika. Załączone fotografie czarno-białe i kolorowe przedstawiają rozwój hodowli owiec od lat dwudziestych XX w. po czasy nam współczesne na terytorium państwa czeskiego. Ponadto we wspomnianym dodatku znajdują się zdjęcia z organizowanych konkursów w strzyżeniu owiec i przedzeniu wełny na kołowrotku, a także fotografie z różnego rodzaju szkoleń oraz spotkań Stowarzyszenia Hodowców Owiec i Kóz na Morawach i Śląsku. Należy również zwrócić uwagę na umieszczoną w tekście publikacji bogatą dokumentację fotograficzną, statystyczną w postaci tabel i wykresów oraz map. Wspomniane wyżej załączniki znajdują się praktycznie w każdym rozdziale. Bogata szata graficzna sprawia, że każdy czytelnik będzie mógł z przyjemnością oddać się lekturze owej książki i jednocześnie zapoznać z licznymi ilustracjami, które są uzupełnieniem tekstu. Ponadto trzeba wspomnieć, że zastosowany tematyczny podział na rozdziały, podrozdziały i mniejsze paragrafy jest bardzo przejrzysty i zrozumiały, co z pewnością umożliwi szybkie odnalezienie przydatnych danych.

Publikacja została skierowana nie tylko do osób zajmujących się hodowlą owiec obecnie, ale również do tych, które interesuje przeszłość i tradycyjne pasterstwo rozwijane przez tysiąclecia na terenie Czech. Dzięki temu, że w książce zamieszczono różnorodne informacje jej treść jest skierowana nie tylko do humanistów, ale również do przedstawicieli nauk weterynaryjnych czy biologicznych. Dlatego też w przyszłości powinno powstawać więcej tego typu prac, które łączyłyby przedstawicieli kilku dziedzin, przez co byłyby skierowane do szerszego grona odbiorców. Należałoby również podjąć współpracę z wykwalifikowanymi historykami, którzy odpowiedzialni byłiby za część historyczną. Owo współdziałanie przyczyniłoby się do powstania spójnej narracji oraz przeprowadzenia krytycznej analizy źródeł. Oprócz tego pożądana byłaby także współpraca z etnologami, którzy mogliby przybliżyć czytelnikowi życie pasterzy, ich tradycje i zwyczaje od roku 1918 aż po współczesność. W ten sposób skupiono by naukowców specjalizujących się

w różnych dyscyplinach, co spowodowałoby, że tego rodzaju monografie miałyby nie tylko charakter naukowy, ale także interdyscyplinarny. Jest warte pochwały, że tego typu prace powstają i cieszą się znaczną popularnością. Dlatego też, podążając za przykładem sąsiedniego kraju, należałoby zadać sobie pytanie, czy podobne publikacje nie mogłyby powstawać na polskim rynku wydawniczym. Wydaje się, że nic nie stoi na przeszkodzie, jednakże brakuje chęci oraz nawiązania współpracy i porozumienia z przedstawicielami różnych dziedzin nauki. Nie powinniśmy zamykać się w wąskich specjaliza-

cjach przy tworzeniu prac naukowych, a wręcz przeciwnie – powinniśmy być otwarci na nowe pomysły. Dlatego też omawianą powyżej czeską monografię należałoby traktować jako wzór godny naśladowania w Polsce. Powstawałyby wtedy książki interdyscyplinarne, łączące kilka różnych dziedzin niemających ścisłych powiązań ze sobą, przez co zapewne cieszyłyby się większym kręgiem czytelników.

Anna Rola  
Lublin

### **Historia historiografii jako historia dyskursywnej pojęciowości – „systemów słów bez podmiotu i odniesienia” (T. Falkowski, *Myśli zdarzenie. Pojęcie zdarzenia historycznego w historiografii francuskiej XX wieku*, Universitas, Kraków 2013, ss. 389)**

Tomasz Falkowski w swojej książce podjął się przedstawienia, jak „pomyślane” było i jest zdarzenie historyczne w historiografii francuskiej (s. 5). W kolejnych rozdziałach omawia: „zdarzenie strukturalne”, „mikrozdarzenie historyczne”, „zdarzenie dyskursywne”, „obiekt zdarzeniowy”. Wskazuje on, iż jego praca to studium „myślowej specyfiki historiografii, jako pewnego typu dyskursu” (s. 41), które wpisuje się „ogólnie rzecz biorąc, w nurt historii historiografii” (s. 41).

Przyjrzyjmy się pracy Falkowskiego przede wszystkim pod kątem perspektywy badania historiografii, stojącej za prowadzonymi przez niego analizami rozumienia zdarzenia historycznego. Poza prześledzeniem dyskusyjnych okoliczności jej kształtowania zadajmy sobie przede wszystkim pytanie: po co uprawiać historię historiografii jako historię dyskursywnej pojęciowości? Po co pochylać się nad tekstem historiograficznym rozumianym tak, jak proponuje nam Autor? Jakie korzyści w zrozumieniu historiografii osiągamy, podejmując tak ukierunkowane badania?

We wstępie książki Autor pisze: „Musimy przyznać otwarcie’ u jej początku nie mieliśmy

pojęcia, jakiego rodzaju perspektywę badawczą zdecydujemy się zastosować, w zasadzie nie wiedzieliśmy też, do czego doprowadzą nas te badania, ani jaki pożytek mógłby ewentualnie z nich płynąć. W punkcie wyjścia chcieliśmy po prostu przyjrzeć się [...] figurze »zdarzenia historycznego«. Czy jednak tego typu pierwotna nieokreśloność projektu badawczego przesądza z góry o jego ułomności?” (s. 9). W przypadku projektu naukowego, a taki charakter ma recenzowana praca, należy na to pytanie odpowiedzieć twierdząco. Podkreślmy, iż ten stan „nieokreśloności projektu”, brak refleksyjnie określonej perspektywy badawczej nie występuje tylko na progu badań, ale obejmuje i same badania. Autor wyraźnie pisze: „W trakcie bliższych studiów nad wybranym przez nas materiałem, odczytywanym pod kątem problemu zdarzenia historycznego, na takim czy innym ich etapie, pojawiło się kilka możliwych perspektyw, które mogłyby zorientować ich kierunek, nadać im określony charakter i wyznaczyć jasny cel” (s. 9), po wycieszeniu tych perspektyw konkluduje: „Tym, do czego dotarliśmy w swych badaniach – i co wydało nam się ostatecznie najciekawsze, najbardziej ważne, najmniej oczywiste

[...] są różne *historiograficzne pojęcia (formy pojęciowe) zdarzenia historycznego*, które zaistniały w obrębie *dyskursu* analizowanej przez nas historiografii [podkr. W. P.]” (s. 9).

Autor wyraźnie stwierdza, iż brak świadomie przyjętej perspektywy, w której prowadzone są jego badania, jest ich zaletą, a nawet gwarantem doniosłych ustaleń. Falkowski wspiera się tu autorytetami René Thoma i Carla Gustava Junga, którzy, zaznacza, „w swoich dziedzinach z całą pewnością dokonali znaczących osiągnięć” (s. 9). Thom miał powiedzieć, iż „nauka załóżkowa nie wie, dokąd zmierza. Jeśli w nauce wiadomo, dokąd się idzie, nigdy nie zajdzie się daleko”, Jung zaś, iż „Na pewnej drodze nic nikomu nie może się przydarzyć [...]” (s. 9). Moim zdaniem przywołanym Autorom nie chodzi o to, by wyruszać w poznawczą drogę z białą laską niewidomego. Są to raczej stwierdzenia, iż jeśli będziemy podążać już wcześniej przez kogoś wydeptanymi ścieżkami, bliskimi w sensie myślowym, tzn. utartymi, powszechnymi, oczywistymi, to jedyne, co będziemy robić, to powtarzać drogę, którą inni przemierzali już nieraz.

Wcale nie uważam, iż postawę, którą przyjął Autor, należy całkowicie odrzucić. Jest niewątpliwie konieczna, zanim przystąpimy do badań. To ona pozwala na to, by „nie iść pewną drogą”, o czym pisze Autor. Wyprzedza postawę autorefleksyjną i krytyczną, którą prezentuje naukowiec wobec siebie i otaczającej go rzeczywistości, także naukowej. Zdaniem Autora jednak nie tyle wyprzedza, ile wydaje się, że zastępuje autorefleksję i krytyczną refleksję nad „miejscem”, z którego jako naukowiec postanawia „mówić”. Tak przynajmniej wynika z deklaracji Autora, cytowanych powyżej, a założonych na wstępie pracy.

Biorąc pod uwagę, iż mamy do czynienia z badaczem i pracą naukową, trzeba założyć, iż ten brak świadomie przyjętej perspektywy prowadzenia badania opiera się na jakiejś wizji myślenia naukowego. Autor jednak bliżej nam nic

na ten temat nie pisze. Pewne jest, iż nie wynika to z ignorancji. Falkowski, zarówno w omawianej pracy, jak i w innych swoich naukowych artykułach bardzo sprawnie porusza się po obszarze współczesnej humanistyki.

Poszukując jakichś przesłanek dla stanowiska Autora, których sam nie ujawnia, można by je znaleźć w sprzecznie wobec występującego w klasycznej epistemologii kontemplacyjnego rozumienia poznania (Obiektywistyczny Model Poznania)<sup>1</sup>. Nigdzie jednak Autor „nie upoważnia” czytelnika do takiego twierdzenia. Co mam na myśli, gdy mówię o kontemplacyjnym rozumieniu poznania? Rozumienie to wynika z charakteryzowania czynności teoretyzowania przez analogię z widzeniem. Pozwolę sobie tu na dłuższy cytat: „Bierze [ono] jako standardowy model natychmiastowe, wolne od wysiłku i poprawne rozpoznanie wzrokowe czegoś, co jest znane, oczekiwane i oglądane w pełnym blasku słońca, nie czyni natomiast najmniejszej wzmianki o zwolnionym i niezdecydowanym rozpoznaniu (czy braku rozpoznania) czegoś co obce, nieoczekiwane czy oglądane w słabej poświacie. [...] Wymyślanie czegoś jest opisywane, jako coś, co polega [...] na kolejnych ‘wzdrzeniach’ wynikania. Jest to jednak opisywanie pracy teoretycznej przez analogię z tym, co nie jest pracą, ale jej uwieńczeniem [...] Przypomina to opisywanie drogi, jako złożonej z samych dojść, poszukiwania, jako czegoś złożonego ze znalezień [...] krótko mówiąc, próbowania, jako czegoś, co polega na kolejnych osiągnięciach”<sup>2</sup>.

Propozycja Autora nie jest jednak dobrym wyjściem poza kontemplacyjne rozumienie poznania naukowego, a przede wszystkim niekoniecznym. Nie twierdzę, że przystępując do pracy, wiemy wszystko o swoich teoretycznych założeniach badawczych, że stanowią one jakąś spójną, skończoną budowlę oraz zachowamy je do końca naszej pracy w takim samym kształcie. Jednym słowem, nie uważam, iż poznanie naukowe to wypełnianie wcześniej ułożonego

<sup>1</sup> Na temat Obiektywistycznego Modelu Poznania zob.: A. Zybortowicz, *Konstruktywizm jako orientacja metodologiczna w badaniach społecznych*, [w:] *Światoogłady historiograficzne*, red. J. Pomorski, Lublin 2002, s. 129–155; idem, *Przemoc i poznanie. Studium z nie-klasycznej socjologii wiedzy*, Toruń 1995.

<sup>2</sup> G. Ryle, *Czym jest umysł?*, Warszawa 1970, s. 456–457.

planu. Naukę niewątpliwie się robi – myśleć to działać i „próbować”, jak to jest zaprezentowane w powyższym cytacie. W „próbowaniu” tym nie przeszkadza posiadanie przyjętego na wstępie jakiegoś mniej czy bardziej skonkretyzowanego programu badawczego w drodze autorefleksji. Nie jest to w tym wypadku równoznaczne z „myślowym zniewoleniem”.

Trudno mi również zgodzić się na gloryfikowanie przez Autora „świadomej naiwności”, jak można określić jego postawę, zarówno na wstępnym, jak i dalszym etapie prowadzenia samych badań, z bardziej fundamentalnych powodów. Nie sądzę, by Autor, który, jak już zaznaczyłem, ma bardzo dobre rozeznanie w dyskusjach toczących się we współczesnej humanistyce, był naiwnym pozytywistą i uważał, iż jest możliwosci myślenia i pisania znikąd. Musi także zdawać sobie sprawę z konsekwencji, jakie niesie ze sobą takie myślenie. Nawet jeśli nie jesteśmy w stanie kontrolować całego zaplecza naszego poznania, to tam, gdzie naukowa postawa wyrażona przez autorefleksję i krytykę mogłaby zadziałać, w przypadku propozycji Autora nie ma możliwości zaistnieć. Dotyczy to zarówno „teoretycznych” fundamentów – perspektywy prowadzonych badań, jak i samych badań.

Po odrzuceniu zadziwiającego przekonania Autora o możliwości prowadzenia badań znikąd, musimy uznać, iż pod jego „świadomą naiwnością” od początku badań skrywała się jakaś myśl, perspektywa historiograficzna wyznaczająca ich kierunek. Perspektywa ta, co oczywiste, nie podlegała autorefleksji. Zaprezentowane we wstępie przez Autora założenia badań, sformułowane, jak rozumiem, *post factum*, wskazują przede wszystkim na jej filiację z myślą Michela Foucault oraz Gilles’a Deleuze’a. Sam Autor pisze, że nie tyle odwołuje się do konkretnych badaczy, ile do pewnej tradycji myślowej, wymieniając także Gastona Bachelarda, Claude’a Lévi-Straussa. Myśli Foucault, tak jak i Deleuze’a, są jednak tymi, które owe tradycje w jego wypadku konkretyzują, ze wskazaniem na tego pierwszego filozofa francuskiego. Pisze on m.in. w kontekście tej tradycji, iż „wraz z praktykowaniem dyskursu lokujemy się ‘od razu’ w sferze [...] założeń charakterystycznych

dla dyskursywności, więc w sferze dyskursywnych: ‘przedmiotowości’, ‘pojęciowości’, ‘modalności wypowiedzeniowych’, ‘strategicznych wyborów’, ‘formacyjnych regularności’, infra- i interdyscyplinarności, słowem wszystkich owych apriorycznych pozytywności, które wyróżnił Foucault [...] które są nieodłączne od wszelkiej postaci analitycznego myślenia i je w decydującej mierze współorganizują” (s. 35). W innym miejscu czytamy: „Usiłując zatem z(re)konstruować formy pojęciowe zdarzenia historycznego w ich dyskursywnym, a nie świadomościowym zaistnieniu, to znaczy próbując je wy-eksplikować z apriorycznej warstwy historiograficznego dyskursu, z poziomu nazwanego przez Foucaulta ‘pozytywną nieświadomością wiedzy’” (s. 36–37). Nawiązania do Foucault wprost, ale nie tylko, znajdują się w całym wstępie książki (zob. np. s. 13, 22, 23, 38, 39, 42).

Postawa „świadomej naiwności” i idąca za nią brak krytycznej autorefleksji nad swoim stanowiskiem badawczym, wspartym na myśli francuskich filozofów, spowodowała brak odpowiedzi na wiele pytań, które wydają się istotne dla kształtu historiograficznej perspektywy badawczej ostatecznie stosowanej przez Autora. Pierwsza sprawa to odrzucenie perspektyw: historii idei, narratywistycznej, paradygmatycznej, węzłowych momentów dyskusji nad zdarzeniem historycznym. Jakże przesłanki stanęły za tym odrzuceniem? Brak odpowiedzi powoduje, iż nie wiemy, co Autor ma na myśli, gdy pisze, iż „ostatecznie najciekawsze, najbardziej ważne, najmniej oczywiste, a jednocześnie decydujące dla tego, co w historiografii bezpośrednio uchwytnie – są różne historiograficzne pojęcia (formy pojęciowe) zdarzenia historycznego, które zaistniały w obrębie dyskursu analizowanej przez nas historiografii” (s. 13). Dlaczego tak ważne w jego analizach historiograficznych jest przeciwstawienie terminu i pojęcia, dlaczego tak ważne jest z tym związane „pokazanie”, że mamy tu do czynienia „z wyprowadzeniem wniosków z przesłanek, nie zaś z wypowiedzaniem ich jako prawd objawionych” (s. 15). Wiemy dlaczego Autor, przyjmując w rozstrzygnięciu, czym jest pojęcie historiograficzne, zdecydował się na kryte-

ria formalne, ale nie wiemy, dlaczego tak ważne dla niego jest, by je rekonstruować, „nie przesądając przy tym, czy są one w istocie tworam i o charakterze wyobraźniowym, psychicznym, duchowym, językowym, symbolicznym itd.” (s. 14). Podobnie można zadać pytanie, dlaczego kwestia budulca pojęć jest również rozważana w trybie formalnym. Oczywiście jest to powiązane z samym formalnym postrzeganiem pojęcia. Do czego Autor nawiązuje. Tyle że nie uchyla to wcześniej postawionego pytania. Dotyczy ono tym razem tego, dlaczego właściwości pojęciowe mają być rozpoznawane wewnątrz dyskursu historycznego. Dlaczego Autor uznaje za mało ważne, nieistotne, poszukiwania, „które doprowadziłyby nas do jakichś struktur mentalnych [...] ‘form kategorialnych’ [...] wyznaczających sposób ich rozumienia albo do ich ‘subiektywnych wizji’ takich czy innych zjawisk zaszłych w historii” (s. 25). Nie wiem także, dlaczego Autor uważa, iż w ich ramach sporu „między ‘specyfiką’ a ‘jednolitością’, różnicą’ a tożsamością, osobliwym’ a ‘fundamentalnym, ‘szczególnym’ a ‘ogólnym’” (s. 43), w ramach odrzuconych przez niego perspektyw nie można stać po pierwszej ze stron tego sporu, z którą on się identyfikuje. Nie bardzo wiadomo również, dlaczego historia idei dla badań nad historiografią, która jest tu jakimś reprezentantem dla wszystkich interpretacyjnych paradygmatów dotychczasowych badań myśli, „wymagała mało. Bardzo mało. Zbyt mało jak dla mnie i dla wielu innych” (s. 37). Ewentualnie, co z innymi interpretacyjnymi paradygmatami wykraczającymi poza tradycyjną historię idei. Dlaczego powinniśmy skupić się na „apriorycznej warstwie historiograficznego dyskursu”, „pozytywnej nieświadomości wiedzy”? (s. 36).

Może jest jednak tak, iż nie chodzi Autorowi o udzielenie odpowiedzi na postawione przeze mnie pytania. Zaznaczmy, iż nie są to pytania z zewnątrz kontekstu badań, jaki można zrekonstruować ze wstępu pracy. Może zatem Autor je uchyla? W swoich wewnętrznych wywodach z formalnego punktu widzenia jest bardzo konsekwentny i „dobrze zorganizowany”. Może „brak” jest tu konstytutywny? Gdyby tak było, odpowiedzią na moje pytanie byłaby na

przykład deklaracja o ich strategicznym zawieszeniu. Takiej deklaracji u Autora nie ma.

Reasumując, nie znajduję żadnego uzasadnienia dla wspomnianego „braku”. Jest to swojego rodzaju „niedostatek myślowy” perspektywy, w jakiej Autor analizuje francuską historiografię, nieobecność czegoś, co powinno zostać przemyślane i powiedziane. Jest to konsekwencja jego postawy „świadomej naiwności”. „Brak” ten mógł się ujawnić i zostać usunięty jedynie w ramach autorefleksji nad perspektywą badań.

Zwróćmy uwagę na inną jeszcze kwestię nie dotyczącą bezpośrednio obecnej w badaniach Autora perspektywy badań. Bez odpowiedzi na postawione przeze mnie pytania nie za bardzo wiadomo, jak czytać jego książkę. Nie jest ona przecież zbiorem wypisów z historiografii francuskiej. Jak pisałem, w zamierzeniu miała być „studium myślowej specyfiki historiografii”. Jeśli tak, to chcielibyśmy coś wiedzieć o kontekście interpretacyjnym, w jakim badacz prowadzi swoje analizy, a nie tylko o ich „technicznej” stronie. O tym ostatnim zostaliśmy dobrze poinformowani przez Autora we wstępie.

Spróbujmy teraz podjąć z Falkowskim dyskusję na kilku wybranych polach związanych z perspektywą historiograficzną prowadzonych analiz. Wątpliwość budzi podkreślana przez niego autonomiczność dyskursu historiograficznego, jak to ma chociażby miejsce w wyżej cytowanym stwierdzeniu o małej istotności innych badań nad „myślą”. Czy naprawdę jest ona tak oczywista? Czy to metoda interpretacji jest niewydolna, czy raczej proponowana przez autora „metoda eksperymentalna”? (s. 38). Jak mamy rozumieć przyczynowe oddziaływanie wewnętrznych reguł dyskursu, które są empirycznie stwierdzonymi regularnościami? Zlewa się tu stwierdzona regularność, jako świadcząca o ich istnieniu, z zalecającą i przyczynową koncepcją ich oddziaływania. To, co pozwala na empiryczne stwierdzenie istnienia reguły, to regularności, a to, co tę regularność wyznacza, to istnienie reguł. Jak można tego uniknąć? Można przykładowo odwołać się do paradygmatu interpretacyjnego, który jak się okazuje, wcale nie mówi zbyt mało. Reguły gry językowej sta-



nowią tu jawną kodyfikację bieżących praktyk i zwyczajów, przez które są determinowane i podtrzymywane. Praktyki społeczne kształtują znaczenie i zastosowanie reguł. Dzieje się tak, ponieważ dostarczają intersubiektywnych kryteriów, które pozwalają klasyfikować formy zachowań i je oceniać. Dyskurs u Autora jest pomyślany w jakiś przedziwny sposób strukturalistycznie, ale bez strukturalizmu, kulturowo, ale bez kultury.

Powyżej cytowałem deklarację Autora w sporze między „specyfiką” a „jednolitością” itd. Analizy zawarte w pracy są, moim zdaniem, jednak jej zaprzeczeniem. Mamy w nich do czynienia z jakąś przewrotnością. Historiograficzny konkret, potraktowany jako autonomiczny dyskurs, jest „systemem słów bez podmiotu i odniesienia” (sformułowanie B. Skargi). Nie ma światów, o których ma on mówić, i ludzi, którzy je stworzyli. W ten sposób traci to, co stanowi o jego konkretności. Po pierwszej fascynacji zawartymi w pracy Autora licznymi analizami konkretnych przypadków z historiografii francuskiej zaczynamy się zastanawiać, co nas tak naprawdę fascynuje i w jakim stopniu odpowiedzialne są za to analizy Autora. Dochodzimy do wniosku, iż ta fascynacja rodzi się nie z faktu partycypacji w analizie Autora, ale z samych licznych odwołań do konkretnych prac historyków francuskich. Lektura ich fragmentów wzbudza w nas fascynację różnorod-

nością tej historiografii. W momencie zaś, gdy skupiamy się na nich poprzez autorską analizę, jako na praktykach dyskursywnych, tracą one swoją konkretność i niezwykłość, stając się jedynie nieznaczącą widzialną warstwą tego, co kluczowe dla Autora, „analitycznych instrumentów” i „odczynników”, pozbawionych antropologicznych odniesień (s. 39). Powołując się na wskazówki Deleuze’a, by nie interpretować, ale właśnie eksperymentować, Falkowski umieszcza historiograficzny konkret w „sztucznej”, eksperymentalnej przestrzeni (s. 39). Przestrzeń tę wypełniają: „kryteria pojęciowości”, ‘jednostka dyskursywna wyższego rzędu’, ‘wydarzenie-zjawisko’, ‘forma pojęciowa’, ‘logiczno-dyskursywno-implicitne relacje między cechami pojęciowymi’ itd. [...]” (s. 39)<sup>3</sup>.

Wątpliwości budzi także rozumienie przez Autora Lebensweltu. Bezsporne jest uznanie go za podstawę ludzkiego bycia w świecie. Problem jest innego rodzaju. Jeśli uznamy go za *commone sense*, czyli poglądy i twierdzenia podzielane przez rozsądek, rozumiany jako własność wspólnoty, czyli system kulturowy, to jedynie z punktu widzenia Autora wszyscy historycy odnoszą się do tego samego, „historycznego wydarzenia-zjawiska”. W konsekwencji bez znaczenia wydaje się ustalenie Autora wypowiedziane w zakończeniu pracy, że „jedno i to samo wydarzenie w swym zjawiskowym wymiarze może zostać skonceptualizowane

<sup>3</sup> Zastanawiam się, w jakim stopniu perspektywa analizy, którą odnajdujemy u Falkowskiego, jest nieświadomym naśladowaniem Foucaulta z *Archeologii wiedzy*. W tym momencie swoich badań rozpatrywał on dyskurs podobnie jak to jest u Falkowskiego – „wewnętrznie”, jako rzecz samą w sobie, autonomiczne praktyki rządzone przez reguły. Zob. J. Topolski, *Wstęp*, [w:] A. Foucault, *Archeologia wiedzy*, tłum. A. Siemek, Warszawa 1977, s. 5. Przyjmuje on w niej postawę, którą odnajduję również u Falkowskiego, „szczęśliwego pozytywisty”, sporządzającego jedynie mapy pojawiania się regularności wypowiedzi. Zauważmy jednak, iż Foucault w dialogu między nim a wymyślonymi oponentami-strukturalistami stawiał sobie samemu m.in. pytanie: „Na mocy czego [...] przemawia twój dyskurs? Skąd się bierze i skąd otrzymuje prawo do mówienia? Jak mógłby dowieść swoich uprawnień? [...] czym są owe dyskursy, które od blisko dziesięciu lat uparcie rozwijasz, nie dbając nigdy o ustalenia ich stanu cywilnego [...]?”. Foucault odpowiada: „Przyznam się, że pytanie to jest dla mnie bardziej kłopotliwe niż wasze dotychczasowe obiekcje. Nie zaskakuje mnie ono całkowicie, wolałbym jednak, jeszcze przez jakiś czas, pozostawić je bez odpowiedzi. Oto bowiem w tej chwili – a nie umiem jeszcze przewidzieć kresu tego stanu – mój dyskurs nie tylko nie określa miejsca, skąd przemawia, ale wręcz unika gruntu, na którym mógłby się oprzeć. Jest dyskursem o dyskursach – ale nie zamierza szukać w nich ukrytego prawa, odzyskanego początku [...]; nie zamierza również tworzyć samym sobą i na swoim podłożu ogólnej teorii, której owe dyskursy byłyby konkretnymi modelami”. A. Foucault, *op. cit.*, s. 244. W cytowanej wypowiedzi mamy do czynienia ze wspomnianym już jakimś ruchem strategicznym. Pytania zostają uświadomiane, a odpowiedzi czasowo zawieszono. U Autora, jak pisałem powyżej, tego brak.

na zupełnie odmienne historiograficzne sposoby, to znaczy takie, które są charakterystyczne dla historiografii” (s. 361). Nie ma bowiem czegoś takiego jak „jedno i to samo wydarzenie”. Potoczność, normalność, powiedzmy za S. Fishem, interpretującym konwersję religijną pewnego baseballisty, któremu zresztą wtóruje choćby C. Geertz, „nie są esencjonalne, lecz konwencjonalne. Nie odnoszą się do własności świata, ale do własności świata w kształcie, w jakim przedstawiają nam go nasze założenia interpretacyjne”<sup>4</sup>. Historyk historiografii traktujący historiografię i, szerzej, naukę jako dziedzinę kultury nie może przejść nad tym do porządku dziennego, jak robi to Autor. Historyk historiografii może oczywiście uznać, iż jego celem jest interpretacja obiektywizująca, tak też chyba jest u Falkowskiego, ale jeśli pominiemy kulturowy kontekst interpretowanych zagadnień, to imputacja kulturowa przekroczy nieunikniony stopień, jaki osiąga ona w każdym przekładzie międzykulturowym. Tak też jest u Falkowskiego<sup>5</sup>. Wydaje się, iż w zadziwiająco mało refleksyjny sposób Autor przeszedł do porządku dziennego nad problemem kulturowego wymiaru obiektywności.

Na wstępie już stwierdziłem, iż mamy do czynienia z badaczem inteligentnym i rozeznany w dyskusjach we współczesnej humanistyce, nie można więc i tej sprawy zamknąć, uznając brak kompetencji Autora. Co zatem mogło go skłonić do powyższych rozstrzygnięć, które, co ważne, zasadniczo umniejszają znaczenie osiągniętych wyników jego badań? Moim zdaniem odpowiedzialne za to jest, o czym już mó-

wiłem, rozumienie dyskursu jako tekstu samego dla siebie, systemu słów bez podmiotu i odniesień. Cytując za Barbarą Skargą J. Paraina-Viala, który krytykował jednego z wyznawców tego typu poglądów, pisał on, iż postępuje jak „ów krytyk sztuki, który chciał opisać budowlę, analizując strukturę cegieł i prawa mechaniki, i który wychodząc z założenia, że cegły są identyczne, a prawa zawsze te same, negowałby nowość budowli, a zwłaszcza fakt, iż mogą mieć odmienne przeznaczenia i użyteczność”<sup>6</sup>. Podobnie jest u Autora recenzowanej pracy.

Trudno mi jest także uznać za istotne ustalenie, a tak je przedstawia Falkowski, iż w swojej pracy pokazuje, „co myślowo odróżnia” historię od świadomości potocznej (s. 42). Nie znajduję w tym nic odkrywczego. Trudno uznać za odkrywcze stwierdzenie o, jak rozumiem, dyskursywnym i pojęciowym charakterze myślenia historycznego w odróżnieniu od „świadomości potocznej”. Zgodzić się nie mogę z tym, co Autor przy tej okazji sugeruje, pisząc o rządzących w niej „mniemaniach”, iż nawykowe uczestnictwo w kulturze w przeciwieństwie do historiograficzno-naukowego jest „bezmyślne” (s. 42). Nie będę w tym miejscu podawał wnikliwych analiz i ustaleń, chociażby A. Pałubickiej i A. P. Kowalskiego, ponieważ do uchylenia tego XIX-wiecznego sądu opartego na kulturowym ewolucjonizmie nie są chyba oni niezbędni. Odsyłam jedynie do lektury ich prac<sup>7</sup>.

Powracając do postawionego na wstępie pytania o celowość uprawiania historii historiografii jako historii „systemu słów bez podmio-

<sup>4</sup> S. Fish, *Interpretacja, retoryka, polityka. Eseje wybrane*, tłum. [et. al.], Kraków 2002, s. 32. Zob. także, C. Geertz, *Myśl potoczna jako system kulturowy*, [w:] idem, *Wiedza lokalna. Dalsze eseje z zakresu antropologii interpretatywnej*, tłum. D. Wolska, Kraków 2005, s. 81–100. Już na marginesie jedynie zapytajmy o status ustalenia Falkowskiego. Wniosek Autora należy do płaszczyzny jego Lebensweltu. Na gruncie jego zdrowego rozsądku jedno i to samo wydarzenie w swym zjawiskowym wymiarze może zostać skonceptualizowane na zupełnie odmienne historiograficzne sposoby.

<sup>5</sup> Instruktywne dla poruszanej przeze mnie kwestii są uwagi Wojciecha Wrzoska. Nie ma przy tym żadnego znaczenia, iż dotyczą one nie historii historiografii, ale praktyki badawczej historyków. Zob. W. Wrzosek, *O myśleniu historycznym*, Bydgoszcz 2009, s. 65–78.

<sup>6</sup> B. Skarga, *Granice historyczności*, Warszawa 2005, s. 200. Krytyka ta dotyczyła Jacques’a Derridy, a Skarga wykorzystuje ją w swojej krytyce Foucaulta.

<sup>7</sup> A. Pałubicka, *Myślenie w perspektywie poręczności a pojęciowa konstrukcja świata*, Bydgoszcz 2006; eadem, *Kulturowy wymiar ludzkiego świata obiektywnego*, Poznań 1990; A. P. Kowalski, *Myślenie przedfilozoficzne. Studia z filozofii kultury i historii idei*, Poznań 2001; idem, *Symbol w kulturze archaicznej*, Poznań 1999.

tu i odniesienia”, trudno dać na nie pozytywną odpowiedź. Pomijając ważne wątpliwości co do jej naukowego statusu, nie widzę powodu, by pochylać się nad tekstem historiograficznym, rozumianym tak, jak nam proponuje Autor, tekstem powstałym w kulturowej próżni, będącym samym dla siebie przedmiotem wyczerpującym badania. Nie znalazłem u Autora żadnych argu-

mentów, które przekonałyby mnie, iż korzystne w zrozumieniu historiografii jest zdystansowanie się od świata kultury, o którym tekst mówi, i historyka, który go zamieszkuje i który go „stworzył”.

Wojciech Piasek  
Toruń

**Dorota Malczewska-Pawelec, Tomasz Pawelec, *Rewolucja w pamięci historycznej. Porównawcze studia nad praktykami manipulacji zbiorową pamięcią Polaków w czasach stalinowskich*, Universitas, Kraków 2011, ss. 302**

Najnowsza historia polityczna niemal od czasów Tukidydesa pozostaje jednym z dominujących modeli uprawiania badań historycznych. Potwierdzeniem tej tendencji jest bez wątpienia liczba publikacji dotyczących „wydarzeń niedawno minionych”, czyli funkcjonujących nie tylko w historiografii, ale także w pamięci społeczeństwa. Jednakże historycy praktykujący w tym obszarze badań nie zawsze uświadamiają sobie potencjalne problemy metodologiczne, z którymi mają do czynienia<sup>1</sup>. Konsekwencją tego jest często pojawiająca się krytyka prac właśnie z nurtu historii najnowszej. Należy zauważyć, że błędy wytykane badaczom dziejów najnowszych nie mają żadnego odniesienia do historyków starożytności lub mediewistów. Najczęściej chyba podnoszonym zarzutem wobec prac historyków najnowszych jest bezkrytyczne przyjmowanie perspektywy źródeł, których ilość w odniesieniu do „niedawnej” przeszłości stanowi istotny problem.

Powyższe uwagi, przynajmniej w jakiejś części, znajdują swoje odniesienie także do historiografii zajmującej się powojennym okresem historii Polski, w tym szczególnie procesem budowy i utrwalania władzy komunistycznej. Przede wszystkim problematyka ta jest eksplorowana przez znaczącą grupę historyków, co

znajduje swoje odzwierciedlenie w ilości powstających publikacji, jest to widoczne zwłaszcza w kontraście z liczbą publikacji z wcześniejszych epok. Dodatkową niedogodnością może być fakt, że temat ten wciąż budzi duże emocje, będąc często przedmiotem sporu wykorzystywanym w debacie publicznej. Nie będzie chyba zarzutem stwierdzenie faktu, iż mimo dużej liczby prac zdecydowana ich większość w dalszym ciągu powstaje w klasycznej – zdarzeniowej perspektywie. Zdarzeniowa wizja powojennej historii Polski, choćby prezentowała fakty dotychczas nieznanne, tylko w niewielkim stopniu przyczynia się do lepszego zrozumienia tego okresu naszej przeszłości. Warto jednak zwrócić uwagę, że coraz więcej autorów wychodzi poza dotychczasowe, klasyczne schematy pisania historii w nurcie zdarzeniowym, dając tym samym całkowicie odmienną perspektywę i nowe możliwości interpretacyjne. Taką pozycją jest niewątpliwie książka Doroty Malczewskiej-Pawelec i Tomasza Pawelca – *Rewolucja w pamięci historycznej. Porównawcze studia nad praktykami manipulacji zbiorową pamięcią Polaków w czasach stalinowskich*.

Już sam tytuł pracy przykuwa uwagę i zmusza do refleksji nad podjętym tematem. Wykorzystuje on nacechowane emocjonalnie

<sup>1</sup> Por. J. Pomorski, *Metodologiczne problemy historii najnowszej*, [w:] *Historia najnowsza jako przedmiot badań i nauczania*, red. J. Maternicki, Warszawa 1990, s. 20–36.

i wywołujące jednoznaczne skojarzenia pojęcia, takie jak: *rewolucja* i *manipulacja*. Czy rzeczywiście polityka pamięci prowadzona przez komunistów, w odniesieniu do badanego okresu, miała rewolucyjny charakter? Czy władza, która posiadała wszelkie możliwe środki – w tym te siłowe – utwierdzania swojej pozycji, musiała uciekać się do manipulacji pamięci? To tylko niektóre pytania, jakie przychodzą na myśl przy pierwszym, pobieżnym kontakcie z książką. Należy także zapytać, dlaczego polityka pamięci, która może uchodzić za drugorzędną z punktu widzenia sprawowania władzy, została przez komunistów podniesiona aż do takiej rangi. Próbą odpowiedzi na te pytania jest właśnie recenzowana książka.

Konstrukcja pracy opiera się na perspektywie komparatystycznej, za pomocą której przedstawiono intencjonalne zabiegi podejmowane na pamięci w II RP oraz w pierwszych latach powojennych. Jak zauważają Autorzy, próby przemiany pamięci wpisują się w braudelowską koncepcję „długiego trwania”. Krótkie okresy nie są wystarczające, aby dostrzec konsekwencje zewnętrznej ingerencji w pamięć. Jednakże pierwsze lata rządów komunistycznych wyróżniały się niezwykle intensywnymi, planowymi i systematycznie podejmowanymi działaniami, mającymi za cel „przebudowę” pamięci jako czynnika niezbędnego w procesie budowania nowego człowieka i nowej rzeczywistości. W celu lepszego ukazania skali oraz dynamiki podejmowanych modyfikacji Autorzy odwołują się do procesów budowy zbiorowych wyobrażeń obecnych w czasach II RP. Oba stosunkowo krótkie okresy nie są wystarczające, aby dostrzec istotne modyfikacje. Niemniej jednak zestawienie ze sobą dwóch odmiennych bytów politycznych – II RP i czasów stalinowskich, pozwoliło spojrzeć na znaczenie i rolę, jaką odgrywała pamięć w tych konkretnych systemach politycznych, oraz w lepszy sposób pozwoliło wyupuklić planowe działania podejmowane względem niej.

Jak zaznaczają Autorzy, przedmiotem ich refleksji nie jest „rzeczywiście” funkcjonująca w społeczeństwie pamięć historyczna, ale „pamięć postulowana”, czyli narzucana społeczeństwu wizja pamięci kreowana przez władze.

Warto w tym miejscu zauważyć, że polityka pamięci, podobnie jak propaganda, może być pomocna przy próbie odkrycia rzeczywistych intencji władz, które wielokrotnie nie były wyrażane w sposób formalny, na przykład za pomocą dokumentów. Dodatkowo przyjęcie takiego punktu widzenia pozwoliło odsłonić i wyeksponować wiele mało znanych aspektów posługiwania się pamięcią jako narzędziem władzy w skrajnie odmiennych systemach politycznych.

Zasadnicza struktura pracy składa się z sześciu rozdziałów, z których każdy, jak zaznaczają sami Autorzy, może stanowić niemalże odrębny obszar badawczy. Zresztą zgodnie z intencją D. Malczewskiej-Pawelec i T. Pawelca praca nie aspiruje do wyczerpania rozpatrywanej problematyki, a jest raczej propozycją wypracowania nowego modelu prowadzenia badań nad manipulowaniem pamięcią. Ma to być dopiero punkt wyjścia, umożliwiający innym zainteresowanym badaczom kontynuowanie badań, w duchu zaprezentowanej koncepcji teoretycznej.

Pierwszy rozdział poświęcony jest przybliżeniu założeń metodologicznych, jakimi kierowali się Autorzy przy analizie zgromadzonego materiału empirycznego. Główna uwaga została poświęcona dwóm kategoriom, które w największym stopniu organizują dalsze wywody. Są to zbiorowa pamięć historyczna oraz polityka pamięci historycznej. Ta pierwsza, najprościej mówiąc, to zestaw przekonań i wyobrażeń o zdarzeniach, postaciach i procesach z przeszłości podzielanych przez wspólnotę osób. Z kolei polityka pamięci historycznej to intencjonalne wpływanie na kształt zbiorowej pamięci historycznej. Z polityką pamięci historycznej związana jest silnie kategoria aktora pamięci, to jest różnych podmiotów, które podejmują zabiegi, aby utrwalić w społeczeństwie pożądaną wizję przeszłości. Nie bez znaczenia jest fakt, że aktorami pamięci, którzy w największym stopniu korzystają z możliwości modelowania zbiorowej pamięci, są instytucje władzy państwowej.

W kolejnych czterech rozdziałach, będących praktycznym zastosowaniem założeń teoretycznych do zgromadzonego materiału

empirycznego, Autorzy analizują konkretne obszary wprowadzania w życie polityki pamięci. W każdej części odwołano się do perspektywy porównawczej, w której mechanizmy kształtowania pamięci w Polsce Ludowej skonfrontowano z tymi, które były stosowane w II RP. I tak w rozdziale drugim – *Pamięć czasów najnowszych a podręczniki*, przedstawione zostały próby wykorzystania szkolnej edukacji historycznej jako narzędzia upowszechniania wizji kreowanej przez rządzących. W rozdziale trzecim – *Prasa i polityka pamięci*, przedstawiono, jaką rolę w procesach zmiany zbiorowej pamięci odgrywały wiodące tytuły prasowe. Rozdział czwarty – *Z kalendarza pamięci*, odnosi się do propagowanych przez panującą władzę świąt i uroczystości państwowych. Z kolei w rozdziale piątym – *O lokalnych wymiarach polityki pamięci w przestrzeni publicznej*, poruszane jest niezwykle interesujące zagadnienie modyfikacji ogólnopolskich wytycznych polityki pamięci do specyfiki lokalnych warunków. Na przykładzie dwóch miast: Lublina i Sosnowca, Autorzy przedstawiają, w jaki sposób kreowano lokalne, specyficzne elementy polityki pamięci.

Odmienny charakter ma rozdział ostatni. Autorzy stawiają w nim wyraźną tezę, iż głównym celem polityki pamięci obozu komunistycznego była próba dekonstrukcji utrwalonego obrazu II RP. Teza taka jest konsekwencją wcześniejszych analiz, w których jednoznacznie dało się zauważyć przewagę „negatywnej” polityki pamięci. Inaczej mówiąc, komuniści większą wagę przykładali do usuwania ze świadomości społeczeństwa treści, w ich opinii „szkodliwych” i „niepożądanych”, niż do propagowania swojej własnej wizji świata i człowieka.

Zwraca uwagę, przede wszystkim w odniesieniu do analizowanego materiału empirycznego, na jak wielu poziomach prowadzona była przez komunistów polityka pamięci i jak była ona wieloaspektowa. Zapewne katalog obszarów, do którego sięgnęli Autorzy, można by jeszcze rozszerzyć, ale nawet ten w wystarczającym stopniu pokazuje, w jaki sposób komuniści starali się zawładnąć świadomością społeczną.

W mojej opinii pewnym mankamentem może być brak – świadomie zresztą założony przez Autorów, którzy analizowali „pamięć postulowaną” – próby oceny skuteczności działań podejmowanych na pamięci przez komunistów. Jak sądzę, postulat taki jest zasadny szczególnie w kontekście ostatniego rozdziału. Skoro Autorzy sugerują, że głównym celem komunistów była dekonstrukcja obrazu II RP, to tym samym niejako zakładają, iż polityka pamięci prowadzona w przedwojennej Polsce była, przynajmniej w jakimś zakresie, skuteczna. Dlatego też dobrym dopełnieniem przeprowadzonych analiz mogłaby być próba oceny skuteczności polityki pamięci komunistów. Inaczej mówiąc, jaka była wiarygodność komunistycznych zabiegów w społeczeństwie. Ponadto warto by rozważyć, jaka była skala owej dekonstrukcji. Innymi słowy, w jakim stopniu polityka pamięci miała/musiała mieć charakter kontynuacji, w jakim zaś była dyskontynuacją zastanych struktur pamięciowych, to znaczy, czy istniała możliwość pełnego odjęcia się od zastanej pamięci i dziedzictwa kulturowego II RP.

Nie jest to prosta krytyka, a raczej postulaty wynikające z wypracowanych przez Autorów założeń teoretycznych. Wydaje się, że ścieranie się dwóch obszarów pamięci: kreowanej przez jej dysponentów oraz jej rzeczywista recepcja w społeczeństwie, może być szczególnie istotne poznawczo. Oczywiście możliwość zrealizowania takich propozycji opiera się na konieczności kontynuowania badań w ramach teoretycznych założeń wypracowanych w recenzowanej książce, uwzględniając ewentualnie konieczność rozszerzenia zakresu rzeczowego i chronologicznego.

Nie ma wątpliwości, że recenzowana książka to praca niezwykle wartościowa. Główną jej zaletą jest porządkowanie i ustrukturyzowanie dotychczasowej, rozproszonej wiedzy w zakresie manipulowania pamięcią w analizowanych okresach. Dodatkowym walorem jest wypracowanie spójnych założeń teoretycznych, na podstawie których liczne grono badaczy może z powodzeniem kontynuować podjęty temat. Natomiast spojrzenie na II RP i Polskę po

II wojnie światowej z całkiem odmiennej perspektywy pozwala dostrzec te elementy, które w dotychczasowych analizach nie były eksponowane, a które z całą pewnością wzbogacają obrazy przeszłości tworzone przez historyków.

Już choćby tylko to powinno być wystarczającą zachętą do sięgnięcia po książkę.

Sebastian Sochaj  
Lublin

**Rafał A. Ziemkiewicz, *Jakie piękne samobójstwo. Narracje o wojnie, szaleństwie i cynizmie*, Fabryka Słów, Lublin 2014, ss. 397**

Dzieje Polski w XX w. doczekały się licznych, szczegółowych i wnikliwych analiz pokazujących konkretne wydarzenia lub syntezy, działania jawne i tajne operacje, biografie ludzi władzy i drugiego planu. Do tego dodać należy niezliczoną ilość mniejszych objętościowo, co nie znaczy że bezwartościowych tekstów (artykułów), memuarystykę i źródła drukowane, na podstawie których można przeanalizować prawie każde dowolne wydarzenie, ustalić datę, prześledzić losy, ale też wyrobić sobie poglądy.

Rodzi się zatem pytanie, czy kolejna pozycja mieszcząca się we wskazanym zakresie ma sens. Pozytywna odpowiedź nie wyczerpuje zagadnienia, albowiem dodać wypada, że mamy do czynienia z pracą, której pominąć nie można, ale jednocześnie nie wnosi ona nowych ustaleń faktograficznych. Wpływa na to fakt, że jest to książka wnikliwie, wręcz z psychoanalitycznym zacięciem charakteryzująca Polaków. Ziemkiewicz stworzył ją przy tym, bazując na prawdziwych faktach historycznych. Nie oznacza to jednakże, że mieści się ona w kanonie klasycznych prac historycznych. Przede wszystkim brakuje aparatu naukowego, co dziwi, bo jego dodanie nie byłoby problemem. Uwagę taką można sformułować chociażby, wzięwszy pod uwagę liczbę cytatów. Jednakże „wyjście” poza kanon miało też swoje zalety, albowiem powstała książka, która stanowi doskonałą platformę do dyskusji i polemiki. Praca, która swą treścią wręcz zmusza czytelnika do zabrania głosu.

Zadanie wydaje się łatwe, ale pamiętać należy, że niezwykle trudno toczyć spór z indywi-

dualnymi przekonaniami i jednostronną wizją dziejów, w której zabrakło miejsca na analizę porównawczą. A takie właśnie jest „piękne samobójstwo”. Otwiera go wiersz Stanisława Grochowiaka o... Don Kiszocie i jego giermku, który zapewne, w rozumieniu Autora, miał w sposób prosty i prześmiewczy zarazem wprowadzić czytelnika w skomplikowaną problematykę... pierwszej połowy XX w. Miał – ale nie wprowadził.

Rafał Ziemkiewicz rozpoczął od wyliczenia, jakich zagadnień książka nie ujmuje, nie omieszkiał jednak wykazać, że to, czego nie dotyczy, „zostanie na dalszych stronach bez trudu udowodnione” (s. 8). Książka jest zaś o tym, „czy jako Polacy w ogóle jesteśmy zdolni do samodzielnego państwowego bytu i co nam w tym przeszkadza” (s. 8). Autor wyraźnie ustawia czytelnika pod tezę, że jeśli stwierdzisz coś, co nie jest akceptowalne (*casus* Piotra Zychowicza), to nie jesteś patriotą! Posiłkując się analogiami, starał się naprowadzić czytelnika na właściwy tor myślenia (*nomen omen* narracji). Taki, w którym my, Polacy, jesteśmy przedmiotem, a powinniśmy być podmiotem, ale przez pecha czy inne narracje produkowane na Zachodzie i Wschodzie tak nie jest. I dla wzmocnienia tezy, jacy to współcześni Polacy są zidiociali, podał przykład reakcji inteligencji rosyjskiej na tezy Marka Sołonina (s. 9–10). Ale gdzie Krym, gdzie Rzym?! Polacy nie byli, nie są i nie będą Rosjanami ani żadnym innym narodem i tezy tej, o paradoksie!, Ziemkiewicz jest gorliwym wyznawcą. Więcej: wzbogaca ją o postulat rozprawienia się z własną historią,

a dokładnie z okresem poprzedzającym wielkie, zbiorowe „samobójstwo” Polaków, czyli latami trzydziestymi XX w. Niewątpliwie słuszny i konieczny to postulat, ale gdzie tytułowe samobójstwo? Odpowiedź tyleż trafna, ile szokująca zawiera się w stwierdzeniu Autora, że „Przypominamy idiotę, który dał się przebiegłym koleśiom podpuścić do skoku na łeb w płytką wodę, przetrzącił sobie kark i przykuty do inwalidzkiego fotela wciąż nie ma odwagi zrozumieć, co właściwie zrobił” (s. 376). Jednakże popełnić samobójstwo to nie znaczy dać się zastrzelić żołnierzowi Wehrmachtu, tak jak zilustrował to Autor na okładce. To nie samobójstwo, to śmierć honorowa, bo żołnierska, sprowadzona przez Niemców w latach II wojny światowej do zbrodni popołitnej.

Ziemkiewicz, co jest łatwo widoczne i czytelne, to ten typ pisarza-publicysty (nie mylić z historykiem<sup>1</sup>), który chciałby w Polakach obudzić poczucie dumy narodowej, „wałąc” ich po głowach opowieściami, że literatura anglosaska wyżej ceni francuski *Résistance* niż polską Armię Krajową (s. 18–19). Ale to ślepa ulica, bo takie gadanie nic nie da, tak jak zresztą i naukowe przekonywanie. Dziś, o czym Autor wiedzieć powinien, do społeczeństw świata zachodniego przemawia... Hollywood lub ich rodzime kinematografie. Zamiast więc toczyć pianę i grzmieć na to, co ludzie na Zachodzie czy gdzie indziej wiedzą i sądzą o Polsce, bądźmy mądrzejsi i zapłaćmy za hollywoodzką wersję Grunwaldu (w roli Zbyszka Leonardo Di Caprio lub Tom Cruise) czy wojny niemiecko-pol-

skiej z 1939 r. Zresztą sam Autor przyznaje to, uznając za „nader trafną obserwację maksymę Tewje Mleczarza, że »Jesteś mądry – w oczach innych – dlatego, że jesteś bogaty, a nie dlatego jesteś bogaty, że jesteś mądry« (s. 12). Ci, co znają USA, wiedzą, że tam pieniądze mogą wszystko. Zapłaćmy więc i będziemy mieli to, co postuluje Rafał A. Ziemkiewicz. Proste? Nie dla Autora „bestselleru” *Jakie piękne samobójstwo...* Po co i na co? Lepiej poświęcić kolejnych 400 stron na analizy (fakt, że niegłupie i uzasadnione), komentarze i narracje. Dla kogo więc? Dla polskiego czytelnika, ale niestety nie wiemy, w jakiej liczbie, bo wydawca, tj. Fabryka Słów sp. z o.o. nie podał liczby wydrukowanych egzemplarzy. Dlaczego? Pytając, nie o zysk mi chodzi (pozwolę sobie być naiwny), ale o poznanie faktu, ilu Polaków książkę mogłoby kupić (czy przeczytać, to inna sprawa), a więc stwierdzenie – jaki będzie jej przybliżony odbiór. Byłoby także zasadne poznać, ilu ona przekonała, ale to graniczy z niemożliwością.

Ziemkiewicz, zdejmując czapkę z głowy przed roztropnością Francuzów (a dlaczego nie przed ich dwulicowością?), postponuje Józefa Becka, przedwojennego polskiego ministra spraw zagranicznych, za uczynienie z honoru priorytetu polityki narodowej<sup>2</sup>. Chwytiliwe, ale płytkie te naukowo supozycje! Ponadto gloryfikowanie polityki francuskiej z czasów II wojny światowej w kontekście tezy o kompromitacji Polaków to nieporozumienie. Polska Francją nie była, chociażby dlatego, że kolonii nie miała, gdzie rząd nasz mógłby rezydować aż do

<sup>1</sup> Dla historycznej ścisłości odnotowuję kilka błędów i pomyłek: „Legiony Piłsudskiego” (s. 76); Niemcy zajęły Czechy 15 marca 1939 r., a więc pięć i pół miesiąca, a nie, jak chce Autor, „cztery miesiące później” (s. 184) po traktacie monachijskim; Ruś Zakarpacką zaś dostały Węgry nie w Monachium (s. 184), a w pierwszym arbitrażu wiedeńskim 2 listopada 1938 r. (południową część); pozostałą część Węgry zajęli zbrojnie w marcu 1939 r.; Rumuni zdradziecko porwali władze II Rzeczypospolitej, a nie III (s. 271); Zygmunt Wenda nie był szefem Obozu Zjednoczenia Narodowego (s. 302), ale szefem Sztabu OZN.

<sup>2</sup> Po konferencji monachijskiej działacze Obozu Zjednoczenia Narodowego stwierdzali: „Dbając o powagę i interesy Rzeczypospolitej, polityka zagraniczna ma tylko dobro Polski na względzie – to jest celem najwyższym i jedynym kryterium. Równocześnie jednak polityka nasza jest polityką honoru i dotrzymywania zobowiązań. Tysiącletnia tradycja Narodu Polskiego, wielkość i znaczenie naszego państwa nakazują poszanowanie zawartych umów”. Zob. *Polska polityka zagraniczna (material do przemówień)*, Obóz Zjednoczenia Narodowego. Oddział Propagandy, Warszawa [1938], s. 33–34. W lipcu 1939 r. szef Sztabu OZN płk Zygmunt Wenda mówił: „Nasza duma i honor narodowy, najcenniejsze skarby każdego Polaka, nigdy nam nie pozwolą na żadne ustępstwa. Z tego, co nasze, nigdy nikomu nie oddamy”. Zob. „Z tego, co nasze, nigdy nikomu nie oddamy”. *Mowa szefa Sztabu OZN płk. Zygmunta Wendy*, „Gazeta Polska”, nr 182, 3 VII 1939, s. 1.

czasu, gdy alianci wojnę z Niemcami wygrają. Ale nie zastanawia się przy tym Ziemkiewicz, czy wojna taka w ogóle miałaby miejsce. Lepiej dokopać liczącym ze strony świata „co najwyżej na wdzięczność i współczucie...” Polakom (s. 24).

Autor realizuje swoją tezę, przekonując także, że III Rzeczpospolita nie ma polityki historycznej, tj., według jego przekonania, nie nadinterpretuje historii. To, po pierwsze! Ale ma rację Ziemkiewicz, gdy mówi, że polska klasa polityczna i intelektualna przyjęły cztery „żelazne” zasady (s. 26–27), które wyznaczają percepcję i zachowania. Zamiast jednak domagać się np., aby te elity owe zasady przedstawiały wszem i wobec i domagały się bilateralnych klauzul wzajemności, ograniczają się do krytyki. Jakże to proste i wygodne zarazem.

Autor to psychoanalitik duszy Polaków (samego siebie także, bo w żadnym słowie nie wyłączył się z tego narodu), który pokazuje, jak jesteśmy naiwni i jak nie powinniśmy się dziwić, że nikt nas nie szanuje, skoro „gotowiliśmy się zrujnować na wysłanie w drugi koniec świata [czyli gdzie? Irak czy Afganistan są niewątpliwie daleko, ale „drugi koniec świata” to z polskiej perspektywy Australia lub Ameryka Południowa, a tam polscy żołnierze, jak wiemy, za „bezdurno” jeszcze nie dotarli – przyp. M. S.] całkiem za bezdurno wszystkich posiadanych żołnierzy...” (s. 29). Śmiać się, czy płakać? Autor przeczy nie tylko faktom, ale i zdrowemu rozsądkowi, twierdząc, że prawie 100 tys. polskich żołnierzy poleciało na „drugi koniec świata” za „bezdurno” (s. 29). Nie to jest jednak najgorsze! Najgorsze jest, że Autor nie stwierdził, kto i ile miałby zapłacić, żeby nie okazało się, że za „bezdurno”! A może marzy mu się misja kolonizacyjna? Z tego, co wiem, jest jeszcze trochę wolnego miejsca na... Książęcu.

Ziemkiewicz, zastrzegając się w pierwszych słowach publikacji, że nie jest ona

o ewentualnym sojuszu z Hitlerem stwierdza na s. 32, że „Dopóki w podstawy naszego myślenia wpisane jest, że decyzja Becka i Rydza, by wziąć na klatę Hitlera, była słuszna i chwalebna – dopóty pozostajemy, podobnie jak oni, frajerami europejskiej i światowej polityki”. Więcej! Jego zdaniem dalej jesteśmy frajerami, bo w Unii Europejskiej nie umiemy realizować własnych interesów. Ale kto umie to czynić? Zdaniem Autora wszyscy inni! Przeklęty kraj ta Polska i ci Polacy, chciałoby się wykrzyzczyć. Ale czy warto? Oczywiście, że nie, bo po co, skoro to frazesy, a w Unii Europejskiej rządzą... Niemcy! Tak, ci sami Niemcy, z którymi Beck, nie chcąc oddać Gdańska<sup>3</sup>, wplątał nas w niepotrzebną wojnę. A teraz, gdy Polska znów, zdaniem Autora, oddawała (i czyni to nadal) wszystko, co najlepsze, teraz też jest źle. W jakiej więc sytuacji będzie dobrze? Gdy nas nie będzie?! Wówczas świat nas „wydymał” i teraz to robi, stwierdza Ziemkiewicz (s. 33), ale sytuacja się zmieniła. To nic i tak jest źle! Oto logika przekazu.

Autor nie ma ambicji rywalizować z zawodowymi historykami, ale chce ich zastąpić „w tym, w czym są najslabsi: w wykazywaniu związku między faktami, wzajemnego wynikania przyczyn i skutku, w obrazowaniu [...] procesu” (s. 37). Brawo! Znów wyładowaliśmy wszyscy w jednym worku. Ponownie całe środowisko historyków polskich jawi się jako nieudacznicy, którzy myślenia przyczynowo-skutkowego nie tylko nie uznają, ale zapewne o nim nigdy nie słyszeli. Ale Rafał Ziemkiewicz słyszał i pokaże, co to jest. Wolno mu, bo umożliwia to nasz aktualny system polityczny, ale czy nam będzie wolno, jeśli będzie on inny?

Pisanie książek jest trudną sztuką, a książek historycznych może szczególnie z racji faktów, dat i właściwego łączenia skutków z przyczynami. Nie bez znaczenia jest także interpretacja i krytyka źródeł, która pozwala na spory i polemiki. Rzecz normalna w świecie nauko-

<sup>3</sup> Wytyczne polskiej polityki zagranicznej, w ujęciu obozu rządzącego Polską po 1935 r., w kwestii Gdańska stanowiły, że Polska chciała jedynie gwarancji swych praw w porcie gdańskim, nie mieszając się „w wewnętrzne sprawy Wolnego Miasta, w rozgrywki między hitlerowską większością a opozycją, bowiem byłoby to ingerowaniem w czyjeś wewnętrzne stosunki, co jest obce podstawowym założeniom naszej polityki”. Zob. *ibid.*, s. 25.



wym. Ale Autor idzie o krok dalej. Chcąc nam pokazać genezę Polski, zaczyna od Rzeczypospolitej Obojga Narodów i pochwały *liberum veto* (s. 41). Ponadto cały przydługi nieco, ale nienudny wywód, poświęcił zobrazowaniu zjawiska charakterystycznego dla Polaków (czy tylko?), że nasze klasy niższe, przez to, że miały przez stulecia taką możliwość, na siłę upodabniały się do klasy wyższej, same nie tworząc żadnej realnej wartości dodanej. Słowem, „dobrze wlecieć między wrony, żeby krakać tak, jak one” (a nawet głośniej i wyraźniej). To, zdaniem Ziemkiewicza, nasza cecha narodowa. Niech i tak będzie, skoro Autor sam się od tego nie odcina... Ale warto zauważyć, że Ziemkiewiczowi wcale nie chodziło o retrospekcję historyczną. Jego celem było i zapewne jest rozprawienie się z aktualnymi elitami (dobór nazwisk jest co najmniej zastanawiający, s. 60), które na takie miano nie zasługują. Są one bowiem obdarzone piętnem postkolonialnego (czytaj – postsowieckiego) dziedzictwa, z którym im dobrze i które przenoszą na kolejne pokolenia. Dlaczego to czynią? Bo mogą! I to jest istotą książki Ziemkiewicza – rządzą ci, którzy nie powinni, a ci, którzy zrobiliby to lepiej, pozostają w cieniu, „ciemny lud” zaś tego nie rozumie.

Przyczyny tego stanu rzeczy upatruje Autor w upadku II Rzeczypospolitej. Dodajmy, katastrofie zmitologizowanej (ale czy inna, bliższa chronologicznie, także nie jest mitologizowana?), a przez to źle postrzeganej, bo, jak twierdzi Ziemkiewicz, „by poprawić współczesność, trzeba przemyśleć raz jeszcze przeszłość”, a więc nadszedł „czas [by] przemyśleć przyczyny drugiego zerwania ciągłości naszej historii, zagłady II Rzeczypospolitej” (s. 65).

Zanim jednak Autor doszedł do meritum, poprzedził to długim wstępem, w którym upomniał się o docenienie postawy pozytywistycznej (pośrednio legalistycznej) Polaków kosztem romantycznej walki narodowyzwolenczej, konspiracji wszelakich i podobnych zrywów zbrojnych (s. 75). Niewątpliwie postulat słuszny, ale czy możliwy do spełnienia i w jakim wymiarze, to rzecz inna. Uznanie Autora dla „zaprzędców” (s. 76) jest jak najbardziej słuszne i zasadne, nie może wszakże przeważać nad czynem. Więcej! Oba elementy są potrzebne,

aby w pełni zrozumieć proces budowania podstaw przyszłego państwa i tożsamości narodowej jego obywateli. To, że zwyciężył nurt gloryfikowania walk narodowyzwolenczych było niewątpliwą zasługą Józefa Piłsudskiego, który w przeciwieństwie do Romana Dmowskiego, okazał się na tyle skutecznym politykiem, że umiał zdobyć (choć nieprawnie) i utrzymać władzę w Polsce międzywojennej, uzyskując m.in. wpływ na przekaz historyczny. Powiedzenie: „kto bogatemu zabroni”, jest tu na miejscu i w pełni zasadne. Kto bronił Dmowskiemu walczyć o władzę? Kto kazał wycofać się z polityki i oddać pole największemu adwersarzowi politycznemu?

Ziemkiewicz, wielki apologeta Romana Dmowskiego, przeciwstawiając jego program działaniu Józefa Piłsudskiego, wyartykułował pojęcie „rewolucji nieustającej” (s. 85–86), jako działania permanentnego, mieszczącego się w zakresie prawa państw zaborczych, a jednocześnie postulował tworzenie „ruchu wszechpolskiego”, skupiającego „w jednym nurcie starania wszystkich warstw społecznych i mieszkańców zaborów, jak również Polaków żyjących na emigracji i w głębi państw zaborczych” (s. 86). Szczytny cel i godny pochwały, ale gdyby Autor zechciał podać, w jaki sposób miała być ta „walka cywilna” zrealizowana, czytelnik mógłby ocenić wartość postulatu. A tak zostaje przyjętą na wiarę, że było to realistyczne założenie. Ale na jakiej podstawie? Gdzie są źródła to poświadczające, do których Ziemkiewicz wielokrotnie się odwołuje. Jednym wystarczy słowo Dmowskiego i Ziemkiewicza, dla innych będzie to za mało. I znów znaleźliśmy się w punkcie wyjścia.

Podobnie zresztą jak nierozstrzygnięty jest spór o to, co było pierwsze: kura czy jajo, tak, według piszącego te słowa, nie można jednoznacznie rozstrzygnąć (Ziemkiewicz uczynił to!, s. 88), czy pierwsze powinno być powstanie, które przynieść miało niepodległość, a wówczas powstaną struktury społeczne i przeprowadzone zostaną reformy, czy pierwotne powinny być reformy i budowanie społeczeństwa, bo są niezbędne do myślenia o powstaniu. Oba poglądy mają swoich historycznych ojców, ale warto zauważyć, że Ziemkiewicz bardzo mocno sym-

patyzuje tylko z jednym z nich. Nie dziwi więc fakt, że optuje za drugim poglądem (s. 88). Dowodem zasadności tezy miałyby być powstanie wielkopolskie, jak chce Autor, jedyne „w pełni udane ze wszystkich polskich zrywów”, ale dodać zapomniał, że o jego sukcesie zdecydowało nie tylko przygotowanie Polaków z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, ale także wysiłki dyplomatyczne Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu, z Romanem Dmowskim na czele, zakończone odnośnymi zapisami rozejmu w Trewirze 16 lutego 1919 r.

Natomiast dobrze analizuje Ziemkiewicz postaci Prezesa (Roman Dmowski) i Komendanta (Józef Piłsudski), i to bez przesadnej egzaltacji w przypadku Dmowskiego i nadmierne go krytycyzmu wobec Piłsudskiego, gdy pisał o okresie przedpaństwowym. Był natomiast jednoznacznie krytyczny wobec dokonań Marszałka, a nade wszystko jego politycznego czy, jak chce Autor, wojskowego zaplecza. W jego ocenie koncepcja federacyjna Piłsudskiego była mrzonką, a nienawiść do Polaków rosła u wschodnich sąsiadów po tym, jak „Polska siłą przyłączyła Lwów, a podstępem Wilno” (s. 102). „Ale im dalej w II Rzeczpospolitą – pisał Ziemkiewicz – tym ów rozsądek mniej miał do powiedzenia” (s. 106) i nietrudno zgadnąć, że miał Autor na myśli piłsudczyków. Szczególnie zaś ich (a przede wszystkim Piłsudskiego) stosunek do powstania styczniowego, które pokazywano Polakom jako „akt założycielski niepodległości”, gdy w rzeczywistości był „miażdżącą” klęską (s. 108). Ale jakim rodzajem klęski – tego czytelnik się nie dowie. Zapewne każdej, ale czy rzeczywiście? I znów polityczne przekonania wzięły górę nad chłodnym, naukowym osądem!

Warto zauważyć jednak, że Ziemkiewicz zdiagnozował doskonale problem „mitu” jako elementu tożsamości, a nawet polityki historycznej. Zarzucając Piłsudskiemu świadomy wybór powstania styczniowego, które „dosko-

nale się na ten mit nadaje, jako klęska niezbędna dla sukcesu”, stwierdził, że „nudna praca organiczna” nie posiada tego waloru. Żadne to odkrycie, zabieg ten potrzebny był jednak Autorowi, żeby upomnieć się o ludzi drugiego (a może pierwszego?) planu. Słusznie! Ale czy nie wielokrotnie lepiej byłoby połączyć oba elementy? Takich konstrukcji jednakże w książce nie ma, co stawia Ziemkiewicza w gronie apologetów jednej sprawy, a nie obiektywnych analityków, na podstawie badań których można by sformułować konkretne wnioski.

W *Kwadraturze „wersalskiego bękarta”* postawił sobie Autor za cel udowodnienie tezy, że II Rzeczpospolita rozwijała się „wprawdzie bardzo prężnie” (s. 111), ale jednocześnie tak źle była zarządzana przez Eugeniusza Kwiatkowskiego, że upadła. Logika godna publicysty! Nie był oczywiście minister skarbu (1935–1939) nieomylny, szczególnie w swej polityce finansowej (*vide* niewspomniany przez Ziemkiewicza spór Kwiatkowskiego z Zygmuntem Wendą), ale jego wizja nie zakładała wojny!<sup>4</sup> Uwzględniając to założenie, porównywanie Polski do III Rzeszy jest nieporozumieniem, a domaganie się *ex post* zastosowania „rozmaitych nowoczesnych pomysłów na pobudzenie koniunktury” (s. 118), czyli inflacji i deficytu, to postulat zaiste ciekawy i kosztowny. Czy Autor wie, ile kosztowały przed wojną pożyczki? Czy zdaje sobie sprawę z tego, kto mógłby ich Polsce udzielić i co oznaczałoby dla słabej gospodarki drukowanie pieniędzy? Z treści wynika, że wie (s. 119), ale postawionej tezy nie zweryfikował. Dlaczego?

Odpowiedź nie jest zaskakująca w świetle wcześniejszych 120 stron: aby „wepchnąć” Polskę w objęcia jednego z dwóch wielkich sąsiadów – III Rzeszy lub ZSRS (sic!). Dodajmy, na szczęście, tylko teoretycznie, bo, jak wiemy, elity II Rzeczypospolitej zdecydowały inaczej, mianowicie, że w ówczesnej sytuacji politycznej (wewnętrznej i zewnętrznej) lepiej wal-

<sup>4</sup> Bogusław Miedziński, analizując 9 września 1938 r. polską politykę, mówił m.in.: „Na pewno nikt rozsądny nie pragnie wojny, ale wypadki doby ostatniej są chyba najlepszą ilustracją tego, że bać się wojny – to jest najlepszy sposób, aby ją na siebie ściągnąć”. Zob. B. Miedziński, *Polityka Polski w dobie dzisiejszej*, „Gazeta Polska”, nr 279, 11 X 1938, s. 1.

czyć<sup>5</sup> (kto mówił, że zginąć?<sup>6</sup>), niż ponownie (po 20 latach) skazać naród na prawdopodobne uzależnienie (być może i niewolnictwo) od jednego z wrogów śmiertelnych<sup>7</sup>. Ziemkiewicz wzmocnił swój przekaz obszernymi analizami potencjałów i geopolitycznych strategii „krwiożerczego niedźwiedzia” i „czarnego orła”, trafnymi i wielce, szczególnie dla nas, Polaków, charakterystycznymi.

Ale ma książka i ten walor, że kto nie zna historii XX w., łatwo zgubi się w konstrukcji niektórych wywodów. Przykładem powyższa analiza, u genezy której stała krytyka elit politycznych II Rzeczypospolitej (piłsudczyków), a która kończy się krytyką władz polskich w latach II wojny światowej, tj. sikorszczyków (s. 145). Tyle tylko, że Ziemkiewicz nie raczył o tym *expressis verbis* czytelnikowi zakomunikować.

Zarzut kolejny to dobór faktów, których prawdziwości podważać nie trzeba, ale ich interpretację i uogólnianie na ich podstawie poglądy już tak. Przeczyć trudno, że do jesieni 1938 r. (nie, jak chce Ziemkiewicz, do marca 1939 r., s. 149) „Polska nie była postrzegana przez rząd Niemiec jako cel napaści wojskowej, ale jako sojusznik” (s. 149), ale nie jest prawdą, że w ten sam sposób postrzegano Niemcy w Polsce<sup>8</sup>.

Ziemkiewicz obala niektóre mity, po raz kolejny apelując, aby wiedzy o holocauście nie czerpać „z dzisiejszych seriali, tylko z historii” (s. 154), i podaje przykład statku „St. Louis”, którego w połowie 1939 r. nie przyjął żaden kraj, a uciekali na nim z III Rzeszy niemieccy Żydzi. Poza nielicznymi ostatecznie wylądowali oni w... KL Dachau! Znakomita myśl: **czerpmy wiedzę z historii!** Brawo! Ale dlaczego Autor zaklina rzeczywistość i nie domaga się sfinansowania przez Polskę obrazu (filmu pełnometrażowego lub serialu), który pokazałby historię prawdziwą konkretnych wydarzeń z trudnych dziejów obu narodów. Dodajmy, tych, w których dotychczas Polacy byli przedstawiani jako kaci, gdy w rzeczywistości byli ofiarami (sic!). Uważam ponadto, że kolejna książka niewiele zmieni, ale hollywoodzki film czy serial HBO już niewątpliwie tak. No chyba że amerykańską fabryką snów rządzą... Żydzi.

Ciąg dalszy odbrazowania historii wiąże się z polityką Józefa Becka. Ziemkiewicz metaforycznie porównał ją do restauratora, który na propozycję bandziora ochrony lokalu zgadza się, a gdy ten przychodzi po haracz, traktuje go (a raczej stara się potraktować) bejsbolem, co kończy się... spaleniem restauracji (s. 165–166). Nic dodać, nic ująć. Knajpiarskie myśle-

<sup>5</sup> Na początku lipca 1939 r. byli żołnierze Józefa Piłsudskiego zrzeszeni w Związku Legionistów Polskich publicznie ogłosili: „Jesteśmy gotowi. Nerozerwalnie związani z armią i jej Wodzem Naczelnym czekamy rozkazów. Wykonamy je zwycięsko, z całym radosnym entuzjazmem, że oto po raz drugi w życiu jest nam dane z bronią w rękę wiernie służyć Ojczyźnie”. Zob. A. Rutkowski, *Nakazy chwili*, „Gazeta Polska”, nr 185, 6 VII 1939, s. 2.

<sup>6</sup> Było odwrotnie! Cała propaganda obozu rządzącego głosiła, że jesteśmy „Silni – zwarci – gotowi”, a każde przemówienie kończyło się wezwaniem do wysiłku na rzecz Ojczyzny. Zygmunt Wenda, mówiąc, że Polskę czekały wielkie zadania, przekonywał słuchaczy i rodaków, że „mamy czego bronić, [a] ze wszystkich zmagają Polska wyjdzie zwycięsko”. Zob. „Z tego, co nasze...”, s. 1.

<sup>7</sup> 2 lipca 1939 r. szef Sztabu Obozu Zjednoczenia Narodowego Zygmunt Wenda mówił w Cieszynie: „My Polacy [...] tak pojmowanego pokoju [ze strony III Rzeszy – M. S.] sobie nie życzymy (burzliwa manifestacja) i otwarcie oświadczamy, że nie mamy zaufania do jego autorów i będziemy się przed nimi mieli na baczności (oklaski). Polska nie może być ani w części jakimś dodatkiem do innego narodu, nie może być jego wasalem, lub tzw. życiowym obszarem”. Zob. *ibidem*.

<sup>8</sup> Przykładem enuncjacji realisty politycznego Stanisława Mackiewicza (Cata), który w grudniu 1938 r. wskazywał, chociaż nader delikatnie, na zagrożenia ze strony Adolfa Hitlera i III Rzeszy. Zob. *Konstatacje*, „Słowo”, nr 339 (5263), 9 XII 1938, s. 1 i Cat., *Kropki nad i...*, „Słowo”, nr 345 (5269), 15 XII 1938, s. 1. Warto zwrócić uwagę na komentarz Cata, którego pierwszy tekst uznany został za „hitlerofilski”, a dowodził w nim (w artykule *Konstatacje*), że „obecna polityka Niemiec wobec Polski przypomina mi traktat Brzeski 1918 r., w którym, jak wiadomo, interesy polskie podporządkowane zostały majaczeniom o państwie ukraińskim”. Zob. Cat., *Kropki nad i...*, s. 1.

nie, skoro Autor nie rozumie, co to jest geopolityka (a nawet polityka) i nie uwzględnia wielu zmiennych ówczesnie, tj. w dwudziestoleciu międzywojennym, zachodzących. Nie rozumie z prostej przyczyny, albowiem dla niego aksjomat polskiej polityki zagranicznej (*nomen omen* bardzo dobrze przedstawiony) był niewłaściwie zdefiniowany (s. 167).

Wywód powyższy posłużył natomiast Ziemkiewiczowi do zdemaskowania faktu, dlaczego Polska nie dostawała pomocy od Francji i W. Brytanii. A no właśnie dlatego, że oba kraje nie były przekonane, co zrobią Polacy, gdy pieniędzmi z Zachodu dozbiorą własne wojsko. Czy nie zmienią frontu i nie będą pomagać Hitlerowi? Cóż za aberracja, i to podbudowana stwierdzeniem, że właśnie dlatego „Francja i Anglia do ostatniej chwili nie były skłonne dzielić się z Polską produktami najnowszej technologii” (s. 169). Nie były, bo ich przemysł wojenny produkował za mało i zbyt wolno nawet jak na potrzeby własnych armii. To po pierwsze. A po drugie, kto eksportuje sprzęt najwyższej klasy, jeśli nie musi? Polska sprzedawała eksportowe P-24, bo przemysł potrzebował „twardej waluty” na nowe konstrukcje myśliwców. Podobnie było z PZL P-37 „Łoś”, na sprzedaż którego podpisano kilka umów w 1939 r., ale czy nie powinno to raczej napawać nas dumą, że polski średni bombowiec zdobywał szturmem rynki Europy Środkowej? Warto o tym pamiętać! Trafnie natomiast pokazał Autor grę, jak się okazało śmiertelną, jaką „stoczył” Józef Beck z Adolfem Hitlerem, uzmysławiającą tym, którzy jeszcze tego nie wiedzieli, że blef nie zawsze jest blefem, a as w rękawie – asem... lotniczym!

Trudno jednakże zgodzić się z Ziemkiewiczem, że uznanie Słowacji było „ostatnim dyplomatycznym akordem prohitlerowskiej polityki Becka” (s. 184) przede wszystkim

dlatego, że postulat niepodległej Słowacji istniał w polskiej polityce zagranicznej od dawna i w momencie korzystnym Polska tylko to potwierdziła, a że było to skoordynowane z rozbiorem Czechosłowacji..., co Autor zresztą, cytując słowa Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, przyznał! (s. 187–188). Czy było winą Polski, że do tego doszło? Podobnie jak winą Polski nie było, że Niemcy doskonale się na Czechosłowacji dozbiorili i doposażyli (s. 187). Ma natomiast rację Ziemkiewicz, gdy mówi, że skłonienie Polski do przeciwstawienia się niemieckiej ekspansji było jedynym sposobem „odwrócenia nieuchronnej i bliskiej agresji na zupełnie nieprzygotowany do wojny Zachód” (s. 187) i wówczas, gdy radzi, co powinien być uczynić (a czego nie uczynił) Józef Beck, gdy Polska została przez Zachód wystawiona na strzał, gdy Francja i W. Brytania nie zareagowały po zajęciu Pragi (s. 190). Ale wie dzie go to do konstatacji, że „nie mamy innego wyjścia, niż przyjąć ofertę Hitlera...” (s. 191) i związać się sojuszem z Niemcami przeciwko ZSRS<sup>9</sup> (s. 192). Szczególnie że, jak chce Ziemkiewicz, Kraj Rad szpiegował nawet Józefa Piłsudskiego, i to przy biernej postawie polskiego kontrwywiadu. Ale przytoczenie sprawy domniemanego szpiegostwa dr. Marcina Woyczyńskiego i jego żony Julii, jako preludeum do omówienia stosunków polsko-sowieckich, to nieuczciwa gra z czytelnikiem. Dodajmy, że po kilkutygodniowym śledztwie oczyszczono Woyczyńską od zarzutów szpiegostwa i zwolniono z aresztu śledczego. O tym jednak Ziemkiewicz wspomnieć nie zechciał! Uraczył nas natomiast opowieścią o sowiecko-niemieckim *szpionie*, tj. szpiegu, który za pomocą „lotosowych esencji” uleczył prezydenta Ignacego Mościckiego, któremu (o zgrozo!) tenże Szamsaran-Badmajew „włożył” do głowy pogląd na temat Hitlera i Sowietów (s. 197–198), co

<sup>9</sup> Warto zwrócić uwagę na ocenę siły ZSRS ze strony polskiej. Pomijając w tym miejscu rzeczywisty ten stan, znany oficerom Sztabu Głównego Wojska Polskiego, godna odnotowania wydaje się konstatacja Stanisława Mackiewicza (Cata), który pod koniec 1938 r. pisał: „Wreszcie nie jestem zachwycony owym zbliżeniem polsko-sowieckim, a raczej nie jestem zachwycony komentarzami, które wywołało ono w prasie polskiej, a także zagranicznej. [...] Polska dwa razy w tym roku wykazała słabość Sowietów. Właśnie Polska, po raz pierwszy drogą ultimatum do Litwy, po raz drugi w czasie kryzysu czeskiego, była tą sondą, za pomocą której Europa się przekonała o słabości Sowietów, o ich niezdolności do gry poważnej”. Zob. Cat., *Kropki nad i...*, s. 1.

świetnie koresponduje z wcześniejszą opowieścią o „szpiegostwie” Woyczyńskich, tyle tylko że nie bardzo wiadomo, o czym świadczy i czego dowodzi. Że szpiegów nie brakowało – to wie każdy historyk. Więcej. Nie brakowało ich po każdej ze stron. Że polski kontrwywiad był do niczego – być może, ale czy ma to oznaczać, że polską politykę zagraniczną tworzył prezydent Mościcki, gdy Autor przekonywał, że jej autorytarnym kreatorem w latach trzydziestych XX w. był Józef Beck, a ten, jak wiemy, u sowiecko-niemieckiego szamana nie leczył się! Ziemkiewicz dowodzi ponadto, że Polska była siedliskiem agentów wpływu (na rzecz ZSRS), a przemawiającym i przekonującym dowodem tego faktu jest książka zapomnianego autora o Sowietach z 1933 lub 1936 r., mówiąca o pacyfizmie zewnętrznym Kraju Rad. Przemawiająca do kogo? Otóż do Polaków! Po co? Aby „Polakom maksymalnie namącić w głowach przed szykowanym im już w takiej czy innej formie siedemnastym września” (s. 200). Niech będzie! Książeczka zapewne istniała, przekaz, dziś powiedzielibyśmy podprogowy, odczytany został przez Autora właściwie, ale zastanawia fakt, że według doktryny sowieckiej tylko polscy robotnicy i chłopci mieli znaleźć szczęście w ZSRS, a ci w dużej mierze byli... analfabetami! Inteligentów z góry skazywano na niebyt. A więc?!

A więc snuje Ziemkiewicz swą opowieść o rozgrywaniu w latach trzydziestych XX w. karty globalnej („widzenie z globu”), o tkaniu przez Stalina pajęczyny oplatającej cały ziemski świat. Warto zauważyć przy tym, że Autor jeśli nie uważa i nie szanuje Stalina, to niewątpliwie docenia jego dokonania. Inaczej zresztą niż Polaków i ich państwa, o których w książce dobrego słowa znaleźć nie można (sic!). Jest za to bezwzględnie krytyczna cenzurka przedwojennych polskich elit (s. 216–217).

Ziemkiewicz buduje obraz katastrofy, opierając się na przemyślanym schemacie, w którym naczelnie miejsce zajmuje logiczne

myślenie. Porusza i analizuje wiele kwestii, ale także podaje wiele opinii, które przemawiają za jego tezą (gdzie są przeciwne?). Wszystko na pierwszy rzut oka koherentne i sensowne. Ale... gdy Autor zastanawia się (s. 223), dlaczego Polacy uwierzyli zapewnieniom „o przyjaźni ze strony Anglików”, a nie Hitlerowi, zapomina (celowo?), że w momencie gdy Anglia złożyła Polsce swe propozycje (marzec–kwiecień 1939 r.), Polska miała dwa wyjścia: uwierzyć coraz bardziej zaborczemu i agresywnemu przywódcy III Rzeszy lub nowemu sojusznikowi, o którego uznanie Polacy (piłsudczycy) dopominali się przez kilkanaście lat. Zwyciężyło przekonanie, że *british government* wyrzekł się polityki *splendid isolation*, zrozumiał sytuację i postanowił pomóc Polsce w powstrzymaniu Hitlera<sup>10</sup>. Znamienne przy tym, że Autor, który domaga się, mówiąc: „próbujemy patrzeć na te sprawy oczami ludzi żyjących w tamtych czasach” (s. 223), tego nie rozumie! A ściślej – rozumie, ale przedstawia je czytelnikowi tak, jakby był on składową „bezmózgowej hołoty” (s. 228).

W mojej ocenie problem nie tkwi w tym, że Ziemkiewicz upublicznia podawane fakty jako wielkie odkrycia historyczne, a swe tezy jako odkrywcze i dotąd nieznanne (sic!), ale w tym, że nie stara się przedstawić kontrargumentów, co sprawia, że powstał obraz daleki od prawdziwego. Inną kwestią jest fakt, że tzw. jedna prawda nie istnieje, będąc zależną od punktu siedzenia, a obiektywnej nie ma z założenia. Dodajmy, że różnorodność źródeł i ich dobór mają znaczenie dla przekazu. Rozumie to zapewne i Ziemkiewicz (raz jeszcze powtórzę publicysta o dużej wiedzy i erudycji), ale przyznać tego nie chce. Dlaczego? To oczywiste! Bo wszystko było źle, a może jeszcze gorzej i tylko historiografia wolnej Polski tego dostrzec nie umie, bo stosuje „patriotyczną poprawność” (s. 243).

Znamienne przy tym, że Ziemkiewicz nazywa „czysto akademicką ciekawością” (s. 251) chęć studiów teoretycznych, ale i czysto speku-

<sup>10</sup> Mieczysław Starzyński, analizując w lipcu 1939 r. politykę „ducha monachijskiego”, pisał, że „jak przeszło co do czego, to okazało się, że stanowisko nasze [nie daliśmy się rozbroić ani moralnie, ani materialnie – M. S.] zaimponowało całemu światu, a zwłaszcza »demokracjom« Zachodu. Okazało się, że Polska umie wykrzesać z siebie siłę ducha, której zabrakło »demokracjom«”. Zob. M. Starzyński, „*Duch monachijski i Polska*”, „Gazeta Polska”, nr 188, 9 VII 1939, s. 1.

lacyjnych na temat możliwości Wojska Polskiego przy wsparciu „potężnego lotnictwa, artylerii i logistyki niemieckiej” (s. 251) w wojnie z Sowiecami. I nie czekając na te studia (czy zasadne i potrzebne – to inna kwestia), konstatuje: „Wszystko, co wiemy, każe mi sądzić, że wtedy armia polska ujawniłaby swą prawdziwą wartość bojową, której we Wrześniu ze wspomnianych wyżej przyczyn nie poznaliśmy” (s. 251).

Autor jest także wielkim zwolennikiem *realpolitik*, która dopuszcza kłamstwo i oszustwo, jeśli efektem będzie dobro państwa i narodu. Trudno nie zgodzić się z tym postulatem, ale niekiedy jeszcze trudniej powiedzieć, co ma być tą *realpolitik*. Józef Beck uznał w marcu–kwietniu 1939 r., że przymierze z Wlk. Brytanią; Rafał Ziemkiewicz siedemdziesiąt pięć lat później, że sojusz z III Rzeszą. I w tym tkwi zasadniczy problem metodologiczny. Autor „pięknego samobójstwa” nigdy nie poniesie konsekwencji swych ustaleń, gdy polski minister spraw zagranicznych nieustannie „odpowiada” przed historią (a może i Bogiem?) za swoje czyny.

Wielce znamienity tytuł nosi rozdział przedostatni. *Dorzynanie* brzmi bowiem tyleż brutalnie, co niepokojąco, a jednocześnie bezosobowo. Kto, kogo i za co? Nie wiadomo. Ale z treści wynika, że to raczej garść refleksji, „sąd historii” nad II Rzeczpospolitą, ale tą złą – piłsudczykowską; tą stworzoną przez Józefa Piłsudskiego po zamachu stanu z maja 1926 r. Po przewrocie, który „z jego nieodzownymi konsekwencjami obezwładnił państwo nasze w pracy nad umacnianiem jego podstaw. W każdej dziedzinie daje się spostrzec uwstecznienie tej pracy do punktów wyjścia, przekreślenie wyników już osiągniętych” (s. 289). Problem nie w tym, że przytoczony cytat pochodzi z endeckiej „Myśli Narodowej”, ale w tym, że Autor także tak uważa, puentując stwierdzeniem: „Rozwój wypadków boleśnie te słowa potwierdził” (s. 290). I nie koryguje tego fakt, że Ziemkiewicz, bliski poglądom Romanowi Dmowskiemu (co sam zresztą ponownie, otwarcie przyznał, s. 290), dokonał analizy „krytycznej” nurtu narodowego w latach trzydziestych XX w. Analizy, która wykazała, że słabość i degrengolada programowa były wynikiem poglądów... Józefa Piłsudskiego (sic!).

Warto zauważyć, że książka ma wiele wątków, których omówienie Autor niejednokrotnie odkłada na dalsze karty. Jako przykład można przytoczyć „zadanie” czytelnikowi zagadki, dlaczego polskie elity polityczne życzliwie patrzyły na coraz większą antyniemieckość polskich mediów i społeczeństwa. Odpowiedź znajdujemy kilkadziesiąt kart dalej (s. 295–304). Poza przyjętą narracją i konstrukcją wypada zauważyć, że zabieg ten, czy zasadny – to inna kwestia, ma skłonić czytelnika do wytrwania w lekturze, która wbrew pozorom (Autor jest znanym i cenionym publicystą) nie jest miła, łatwa i przyjemna, ale przede wszystkim z powodu takich, a nie innych konstatacji. Wiadać bowiem, że kilka lat studiów nad literaturą i źródłami znalazło swoje odzwierciedlenie w tekście. I ma to swe dobre strony, bo wiele konstatacji Ziemkiewicza jest trafnych, zasadnych i wnoszących do powszechnego stanu wiedzy (profesjonalni historycy XX wieku wiedzą o tym od dawna) wiele pozytywnego. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie wszechobecny duch tezy, że było źle, a winni temu byli piłsudczycy, bo wierzyli bezkrytycznie w zwycięstwo do tego stopnia, że dla ratowania władzy byli skłonni do wywołania „jakiejs wojenki”, najlepiej wygranej! (s. 302).

Ale skoro wojnę przegrali, i to w marnym stylu politycznym, ale za to z honorem (poza oczywiście wyjściami z kraju, które nadal budzi emocje), to przestali być obiektem ataków. Ziemkiewicz wyszedł bowiem z założenia, że winni są zawsze ci „u złobu”, przy czym klęsce (czyżby?!) wrześniowej, jak chce Autor, winni byli... sikorszczycy. Z tymi również rozprawił się Ziemkiewicz trafnie i zdecydowanie, pokazując na ich przykładzie (tak jak na piłsudczykach w dwudziestoleciu międzywojennym) obraz pokolenia, które zrodzone w czasach zaborów nie umiało (trudno przyjąć, że nie chciało) stworzyć struktur państwa na miarę pierwszej połowy XX w. Zapewne Polacy mają wiele cech im tylko przypisanych, ale jeśli tak jest, to Rafał Ziemkiewicz również je posiada. W takim natomiast przypadku jest bezpośrednim kontynuatorem i piłsudczyków, i sikorszczyków, bo dystans, który powinien mieć obiektywny badacz, przykryty został chęcią rozprawienia

się z mitami, uogólnieniami i stereotypami. Dobrze! Ale czy użyte narzędzia były właściwe? Czy „kawa na łąkę” została wyłożona. Czy wnioski zasadne? Aspekty te ocenić może, a nawet powinien, czytelnik indywidualnie. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że klisze oceny społeczeństwa i jednostek są właściwe i w wielu aspektach trafne. Szczególnie dotyczy to niezmiernie i nieuprawnienie zmitologizowanego obrazu II wojny światowej. Warto podkreślić, że Autor domaga się, niestety *ex post*, stosowania *realpolitik* i pokazuje, że dobry polityk musi być przede wszystkim... skuteczny bez względu na cenę. Warto dodać, że w tym rozumieniu Stalin, nazywany przez Ziemkiewicza „bandytą”, to dla niego wzór niedościgły. Zbliżając się do zakończenia, Autor raz jeszcze powtórzył wcześniejsze tezy: sojusz z Niemcami (od marca 1939 r.), zaniechanie oporu i podkreślanie, że ZSRS dokonał najazdu, a nie „wkroczenia” czy „wzięcia w obronę” (s. 340–341).

W mojej ocenie celem książki było brutalne uświadomienie Polakom, że ich kraj w XX w. (a zapewne i dzisiaj?) był przedmiotem polityki międzynarodowej, ale i pokazanie mechanizmów (niestety przez negację), jak ten stan zmienić. Zapomniał jednakże Autor dodać, że do tego potrzebna była i jest, poza właściwą polityką zagraniczną, nadal silna i nowoczesna armia<sup>11</sup>, a to oznacza koszty, które trzeba stale ponosić. Wydatki zaś są możliwe tylko w sytuacji, gdy państwo ma dochody, i to najlepiej co roku większe. A to oznacza gospodarkę, o którą trzeba dbać i którą trzeba rozwijać zarówno w środowisku wewnętrznym, jak i międzynarodowym. Ten, kto umie zrobić to sprawniej, wygrywa. Przed II wojną światową nie umieliśmy tego dokonać, w czasie globalnego konfliktu tym bardziej, po nim wpadliśmy w szpony „krwawego niedźwiedzia”. Cała nadzieja w kolejnych pokoleniach. Problem w tym, że tej na-

dziei w książce Ziemkiewicza nie widać, a jego ocena naszej współczesnej elity jest wręcz miazdząca, skoro skonstatował on: „Jesteśmy wciąż tak samo głupi jak nasi przodkowie i tak samo skłonni do popełniania podobnych jak oni błędów. Tylko jeszcze od nich słabsi i jeszcze łatwiejsi do zniszczenia” (s. 385).

Dodajmy, że, zdaniem Autora, odbija się głośną czkawką także nasza wcześniejsza naiwność w polityce międzynarodowej (a gdzież i kiedy mieliśmy czas jej się nauczyć?) i wiara w sojuszników, którzy (bez wyjątku) są dla Ziemkiewicza, i zgodzić się z nim w pełni wypada, »Złem«; wszyscy działali na niekorzyść Polski – przedmiotu, i to niepożądanego (od 1943 r. szczególnie) w ich planach strategicznych.

\* \* \*

Przedstawione uwagi mają charakter polemiczny i nie wpływają na ocenę książki jako ważnej pracy nad psychoanalizą duszy narodu polskiego, ale mają znaczenie w aspekcie narracji historycznej. Jest ona tyleż pożyteczna, ile szkodliwa! Dla tych, którzy historię XX w. znają, ma wartość polemiczno-interpretacyjną. Dla tych, którzy wiedzy takiej nie mają, jej lektura może spowodować intelektualne... samobójstwo. Koniec i bomba, a kto czytał ten... No właśnie, co? To już zależy od czytelnika, któremu wolno (na szczęście) sądzić według własnej wiedzy i sumienia.

\* \* \*

Na koniec pozwolę sobie wyrazić pod adresem Rafała Ziemkiewicza życzenie, aby wydał książkę w języku angielskim w renomowanym amerykańskim lub brytyjskim wydawnictwie. Nie od rzeczy byłoby jej przetłumaczenie także

<sup>11</sup> W 1938 r. rządzący Polską Obóz Zjednoczenia Narodowego w swych założeniach dotyczących polityki zagranicznej twierdził, że „pierwszą i najważniejszą gwarantką interesów Państwa jest jego siła własna. Kardynalną więc zasadą polskiej polityki zagranicznej jest opieranie bezpieczeństwa kraju naszego przede wszystkim na siłach własnych”, albowiem to „nie międzynarodowe gwarancje, są zapewnieniem naszego bytu niezależnego” [...] [ale] nasza własna siła jest tą wartością, od której zależy głos nasz na świecie i znaczenie Rzeczypospolitej poza Jej granicami”. Zob. *Polska polityka zagraniczna...*, s. 6, 7.

na niemiecki. Gdyby okazało się to niemożliwe, niech „zawiśnie” ona w Internecie w językach Szekspira i Goethego. Jeśli doczeka się komentarzy (oby tak było), dopiero wówczas bę-

dziemy mogli ocenić jej wartość i przydatność w postulowanym przez Autora zakresie.

Marek Sioma  
Lublin

### **Jolanta Studzińska, *Socrealizm w malarstwie polskim*, PWN, Warszawa 2014, ss. 520**

Sztuka socrealistyczna jest, podobnie jak inne nurty, częścią polskiej kultury. Specyfika jej percepcji wynika z co najmniej kilku kwestii: 1) jako jedyna została narzucona z góry, 2) jej egzogeniczność nie znalazła akceptacji, 3) jako jedyna zdobyła monopol, którego broniły sankcje prawne, 4) przeważała w niej estetyczna tandeta, 5) po raz pierwszy tworzenie było tak mocno poddane rozbudowanym i unormowanym regułom programowym opartym na ideologii, 6) z tych wszystkich powodów trwała bardzo krótko i zniknęła, gdy tylko skończył się przymus posługiwania się jej wytycznymi.

Po latach stagnacji w polskiej literaturze naukowej widać pewne ożywienie w zainteresowaniu realizmem socjalistycznym. Jeśli chodzi o sztuki plastyczne, dostrzec go można jednak głównie w dziedzinie architektury<sup>1</sup> i plakatu, znacznie rzadziej malarstwa czy rzeźby<sup>2</sup>. To powód, dla którego każda nowa pozycja na ten temat spotyka się z wielkim zainteresowaniem znawców problematyki. Zapewne podobnie stanie się w przypadku książki Jolanty Studzińskiej – *Socrealizm w malarstwie polskim*.

Opracowanie składa się ze wstępu, pięciu rozdziałów, zakończenia i aneksu. Dwa pierwsze rozdziały są wprowadzeniem do tematu i zostały w nich omówione: historia Rosji bolszewickiej i Związku Radzieckiego w latach

1917–1953 oraz zarys socrealizmu radzieckiego i historia Polski Ludowej w latach 1944–1956 wraz ze szkicem przedstawiającym środowisko artystyczne i sztukę w latach 1944–1949. Rozdział trzeci poświęcono programowi socrealizmu w Polsce; w rozdziale czwartym zapoznaliśmy się z pochodzącymi z epoki polemikami z tym nurtem sztuki, a w piątym, jak określiła to Autorka, z ujęciem retrospektywnym wobec realizmu socjalistycznego. Aneks zawiera krótkie rysy wystaw plastyki z lat 1950–1954. Do pracy dołączona jest bibliografia, niestety – brakuje indeksu nazwisk, co przy tego typu temacie jest istotne. Z okładki dowiadujemy się, że Autorka jest artystką, a publikację oparto na obronionej w Hiszpanii rozprawie doktorskiej, która została tam nagrodzona. Niestety, z polskiej perspektywy trudno uznać tę książkę za udaną.

Już sam tytuł może wprowadzać w błąd, ponieważ praca nie jest analizą socrealizmu w malarstwie polskim. Oto jak zostały zdefiniowane jej cele: „Podstawowym założeniem tego opracowania jest analiza źródłowa tekstów programowych, przemówień polityków, wypowiedzi artystów i artykułów prasowych opublikowanych w analizowanym okresie, które są autentycznym świadectwem omawianych faktów artystycznych i historycznych” (s. 7), a w innym miejscu: „Poniższe studium ma-

<sup>1</sup> Np. P. Majewski, *Ideologia i konserwacja. Architektura zabytkowa w Polsce w czasach socrealizmu*, Warszawa 2009; J. Zieliński, *Realizm socjalistyczny w Warszawie. Urbanistyka i architektura (1949–1956)*, Warszawa 2009; A. Sumorok, *Architektura i urbanistyka Łodzi okresu realizmu socjalistycznego*, Warszawa 2010.

<sup>2</sup> Katalog: *Socrealizm. Galeria Miejska BWA Bydgoszcz 19.10–31.12.2005*, red. D. Pałysz, Bydgoszcz 2005.



larstwa socrealizmu stara się dać świadectwo wydarzeniom i manifestacjom artystycznym należącym do historii, odtworzyć chronologię najważniejszych faktów związanych z omawianą tendencją, wystaw i konferencji, zbadać założenia ideologiczne i formalne oraz skonfrontować je z praktyką malarską” (s. 12). *De facto* w pracy znajdujemy informacje na temat historii: Rosji bolszewickiej i Związku Radzieckiego w latach 1917–1953 i historii Polski Ludowej w latach 1944–1956, podstaw ideologicznych socrealizmu stworzonych, w zasadzie głównie, na podstawie jednego czasopisma, „Przegląd Artystyczny”, oraz przykłady publicznych postaw wobec doktryny. To nie jest tekst o socrealizmie w malarstwie, ale o wybranych założeniach ideowych leżących u podłoża realizmu socjalistycznego przedstawionych na podstawie oficjalnych publikacji. W dużej mierze praca przyjęła formę relacyjną; referuje treści opublikowane na łamach „Przeglądu”<sup>3</sup> i w kilku znanych książkach. Budzi to poważne zastrzeżenia. Nie znajdziemy tu bowiem warsztatu malarskiego, niewiele dowiemy się o warstwie artystycznej i przyczynach jej jakości, o tym, jakie było nastawienie artystów wobec np. aktów czy pejzaży, o rzeczywistych poglądach malarzy, o uzyskanym stopniu poparcia dla niego wśród odbiorców i o wpływie na nich tego typu malarstwa, o marksistowskim haśle „ilości przechodzącej w jakość”, o roli artystów amatorów i kreowaniu ruchu amatorskiego itd. Takich nieobecnych tematów można by tu wymienić znacznie więcej.

Już pierwsze zdanie w tekście dowodzi, że Autorka nie jest z wykształcenia historykiem, co w tym wypadku wywołuje daleko idące konsekwencje. Wielu historyków sztuki nie jest historykami *sensu stricto*, ale przeszłość nie stanowi dla nich tajemnicy. Nie można tego napisać o niniejszym przypadku.

Na samym wstępie Autorka udowadnia, że nie ma żadnych dylematów epistemologicznych. Pisze np.: „Znajomienie się z oryginalnymi materiałami źródłowymi dotyczącymi socrealizmu daje nam możliwość porównania

prawdy historycznej z wersją oficjalną socrealizmu, głoszoną przez władze PRL-u [...]” (s. 7), i dalej: „Umożliwia również zrozumienie sytuacji i postawy artystów [...]” (s. 8). Nie dowiemy się jednak, w jaki sposób „oryginalne materiały” pozwalają rzetelnie poznać założenia ideologiczne, na jakiej podstawie możemy/potrąfimy odróżnić „prawdę” od „nieprawdy”. Sama ich oryginalność też pozostawia dużo do życzenia. To samo dotyczy szczerości wypowiedzi artystycznych, „którą można jedynie domniemywać w niektórych przypadkach, w innych natomiast należy odrzucić” (s. 10). Podobnie nie dowiemy się, jaki klucz obowiązuje przy akceptowaniu bądź odrzuceniu tych treści. Wydaje się, że domyślnie została tu założona zdroworozsądkowość, ale ta z profesjonalną historią ma niewiele wspólnego. Można by się w zasadzie zgodzić z kolejnym celem: „Bliższe i bardziej słuszne wydaje się zatem szerokie spojrzenie na te kwestie, przedstawienie faktów i unikanie definitywnych ocen. Opinię na ten temat należy pozostawić otwartą, zwracając się raczej do intuicji czytelnika, celem tego opracowania nie jest bowiem sądenie artystów, ale odtworzenie i przedstawienie jak najpełniejszej informacji dotyczącej idei malarstwa omawianego okresu i rzeczywistości, w jakiej powstawało. Dzięki tej wiedzy niewątpliwie można znaleźć się bliżej prawdy o przeszłości” (s. 11). Jednak odwoływanie się „do intuicji czytelnika” przeczy warsztatowi naukowemu. Jeśli dzięki intuicji miał on znaleźć się „bliżej prawdy”, to popełniono tu poważny błąd, a recenzowana praca jest doskonałym tego świadectwem. Wyjaśnijmy to choćby na jednym przykładzie: używania tez apriorycznych będących wynikiem myślenia zdroworozsądkowego. Na jakiej podstawie powstało przekonanie, że społeczeństwo nie akceptowało socrealizmu (s. 7)? Nie dysponujemy badaniami na temat ówczesnych wyborów estetycznych, to czysty wytwór wyobraźni (by nie napisać „prezentywny”). Zresztą pisanie *in gremio* o całym społeczeństwie jest w nauce nieuprawnione. Podobna uwaga dotyczy tzw. Nowoczesnych, z krakowskiej wysta-

<sup>3</sup> Rzadziej odwołuje się do *Materiałów do studiów i dyskusji z zakresu teorii i historii sztuki, krytyki artystycznej oraz metodologii badań nad sztuką*.

wy w 1948 r., która podobno „nie spodobała się społeczeństwu”, o czym mają świadczyć przytoczone głosy kilku krytyków (s. 91). Tego typu wąskie korelacje z punktu widzenia warsztatu naukowego są niewystarczające, a napotykamy ich tutaj znacznie więcej.

Ze względu na swą ogólnikowość większość (!) treści książki mogłaby się znaleźć w opracowaniach dotyczących: plakatu, architektury, rzeźby, propagandy, kultury czy ideologii w komunistycznej Polsce, ponieważ nie odnosi się bezpośrednio do malarstwa ani konkretnych przykładów obrazów. Skąd w takim razie taki tytuł?

Moim zdaniem zupełnym nieporozumieniem są podrozdziały pracy mówiące o historii ZSRR i Polski Ludowej. Przywołane tu setki danych nie mają żadnego znaczenia dla podstawowego tematu, co więcej, są powszechnie znane. Przepisywanie podręcznikowych informacji można by usprawiedliwić, gdyby książka została wydana poza Polską; tutaj nie znajduję dla nich sensu. Tym trudniej je zaakceptować, że rozdziały o historii Związku Radzieckiego powstały na podstawie niemal wyłącznie kilku książek Richarda Pipesa i *Europy* Normana Davisa<sup>4</sup>. Podobny zarzut można postawić wobec rozdziału o historii Polski, opartego głównie na trzech pracach do pewnego stopnia podręcznikowych, choć zacnych autorów: Wojciecha Roszkowskiego, Andrzeja Friszke i Andrzeja L. Sowy<sup>5</sup>. Powtórzę: jaki jest sens przepisywanie tych książek, w dodatku mnożąc dziesiątki rozbudowanych przypisów powstających na podstawie ich zawartości? Co więcej, jest to kompendium na poziomie wiedzy zainteresowanego historią maturzysty. Pojedyncze z nich byłyby tylko oczywistościami, ale kolejne strony takich danych ocierają się o infantylność. Historiografia nie może polegać na przepisywaniu podręczników. Pozwolę sobie na przytoczenie tylko dwóch przykładów: „Kiedy Stalin ustabilizował swoją władzę, porzucił politykę NEP-u i rozpoczął niezwłocznie

przymusową kolektywizację rolnictwa oraz realizację centralnego planu pięcioletniego w celu przyspieszonego uprzemysłowienia kraju, który miał przekształcić Związek Radziecki w wielką potęgę wojskową i gospodarczą. Rosyjski lud miał tego dokonać zaledwie w ciągu jednej dekady i wszelkimi możliwymi środkami. Komisja Narodowa Planowania – Gosplan – przygotowywała pięcioletnie plany dla dziedzin produkcyjnych, ustalając normy konieczne do wykonania dla fabryk, zakładów produkcyjnych i robotników wszystkich gałęzi przemysłu. Mieli oni sprostać oczekiwaniom wodza, pomagając w budowie potęgi Związku Radzieckiego. Falszowano także oficjalne statystyki [...]” (s. 18). I drugi przykład: „W Rosji, jak już wspomniano, bolszewicy zmierzali do rozprzestrzenienia się rewolucji socjalistycznej na całą Europę. Wynikało to z idei międzynarodowej komuny socjalistycznej tworzonej na bazie owocnej współpracy ekonomiczno-gospodarczej narodów, która miała w konsekwencji skończyć z interesami nacjonalistycznymi istniejących państw, usprawiedliwiającymi ucisk i wyzysk ludności przez imperialistyczne rządy silniejszych mocarstw” (s. 46). Kilkadziesiąt stron tego typu informacji to zdecydowanie za dużo. Może to sugerować, że dla Autorki były one jakąś nowością, dlatego uznała, że należy się nimi podzielić z czytelnikami, ale nie dodaje to im wartości. Książka *de facto* mogłaby zacząć się od podrozdziału *Reorganizacja życia artystycznego* (s. 69) i merytorycznie nie tylko niczego by nie straciła, ale wręcz w ten sposób wyeliminowano by wiele wad i banałów.

Podrozdziały dotyczące życia artystycznego w ZSRR i Polsce są już nieco mniej sztapkowe niż te mówiące o historii komunizmu. Dowiadujemy się z nich o szkołach i grupach artystycznych, działaniu Proletkultu i podstawach programu sterującego socrealizmem w ZSRR. Podobnie w przypadku Polski obserwujemy deskrypcję zarysu tendencji malarskich i ugrupowań artystycznych w Polsce w latach 1945–

<sup>4</sup> R. Pipes, *Krótką historią rewolucji rosyjskiej*, Warszawa 2007; idem, *Rewolucja rosyjska*, Warszawa 2006; idem, *Komunizm*, Warszawa 2008; N. Davis, *Europa*, Warszawa 2002.

<sup>5</sup> W. Roszkowski, *Historia Polski 1914–1998*, Warszawa 1999; A. Friszke, *Polska. Losy państwa i narodu 1939–1989*, Warszawa 2003; A. L. Sowa, *Od Drugiej do Trzeciej Rzeczypospolitej (1945–2001)*, t. 10, Wielka Historia Polski, Kraków 2001.

1949 (s. 77–95). Niestety one również powstały na podstawie dwóch publikacji: Janusza Boguckiego, *Sztuka Polski Ludowej*<sup>6</sup> i *Polskiego życia artystycznego w latach 1945–1960*<sup>7</sup>, czyli ponownie prac najbardziej oczywistych i znanych już od lat.

Zbędne treści w tej części to jednak najmniejszy problem pracy. Znacznie ważniejsze są niedociągnięcia merytoryczne. Nieznajomość historii prowadzi do licznych lapsusów. O specyficznym podejściu do historii niech świadczą cytaty: „[...] członków partii narodowościowych i pravicowych oraz organizacji niepodległościowych polskiego podziemia w większości aresztowano, więziono lub zsyłano do obozów w ZSRR” (s. 59), na temat Kościoła katolickiego: „Po wprowadzeniu nowego porządku ustrojowego Kościół stał się celem ataków ze strony rządu i Urzędu Bezpieczeństwa, ponieważ był traktowany jako organ opozycyjny w państwie. Został następnie poddany próbom podziału wewnętrznego przez współpracowników sowieckich, którzy przeniknęli w szeregi księży” (s. 65). Chyba jeszcze bardziej znamienne są słowa o śmierci Bolesława Bieruta: „W Polsce sensację wywołała wiadomość o śmierci prezydenta Bieruta, który przebywał wówczas z wizytą w Moskwie. Podejrzewano, że przyczyną śmierci było samobójstwo, ale nie wykluczano także zabójstwa związanego z bieżącymi wydarzeniami, co wydaje się bardziej prawdopodobne” (s. 67)<sup>8</sup>. To tylko namiastka ilustrująca powszechny tu sposób rozumienia i opisywania historii Polski.

Tego typu zaskakujących wypowiedzi jest więcej. Omówię je na wybranych przykładach, zaczynając polemikę od przyjrzenia się opisowi

podstaw ideowych. Chaos panujący w rozdziale o marksizmie (s. 213–223) może sugerować nieznajomość i brak zrozumienia tej filozofii i doktryny, która się z niej wywodzi, a pisanie o „bazie i nadbudowie” na podstawie „Przeglądu Artystycznego” jedynie potwierdza te przekonania. Oto, jak przedstawione zostały relacje pomiędzy bazą a nadbudową w interpretacji Stalina: „Stalin wprowadził tu pewną modyfikację, która polega na tym, że przyznał nadbudowie – rządowi – funkcję aktywną wobec bazy. Tym samym, przenosząc ośrodek znaczenia ze sfery ideologicznej na sferę polityczną, otwierał sobie możliwość kształtowania historii niezależnie od zmian zachodzących w bazie” (s. 220)<sup>9</sup>. Wynikiem nieznajomości marksizmu jest niezauważenie różnic pomiędzy marksizmem Marksa a marksizmem Stalina, czego wszakże dotyczy podrozdział, w stosunku do: państwa, przyszłości komunizmu, rewolucji proletariackiej, imperializmu, rodziny, pieniędzy itd. Niuanssem już jest pytanie o celowość tak skonstruowanego podrozdziału w pracy o malarstwie socrealistycznym.

Nieznajomość marksizmu można by życzliwie przemilczeć, trudniej to zrobić w przypadku istotnych kwestii dotyczących historii Polski. Z całego opracowania wynika jednoznacznie, że wg Autorki, w Polsce Ludowej rola głównego decydenta należała do rządu, a socrealizm to: „program rządowy” (m.in. s. 10, 69, 93, 117, 127). To ta właśnie instytucja stale pojawia się w tekście jako mocodawca polskiego życia politycznego, społecznego i kulturalnego. Równie istotne uchybienia dotyczą rozumienia kwestii kultury. Trudno się zgodzić z tezą o „wyzerowaniu historii” i „budowaniu świata

<sup>6</sup> Warszawa 1983.

<sup>7</sup> Red. A. Wojciechowski, Wrocław–Warszawa–Kraków 1992.

<sup>8</sup> O poznańskim czerwcu możemy przeczytać: „Sytuacja w Polsce stała się bardzo niepokojąca, robotnicy poznańskich fabryk wyszli na ulice ze sztandarami, na których widniały napisy: *Chleba i wolności!*, *Rosjanie do domu!* Walki z milicją trwały dwa dni, zginęło 75 osób, a 800 zostało rannych. Sytuacja została opanowana dzięki interwencji premiera Cyrankiewicza oraz zapowiedzi powrotu do życia politycznego Gomułki, który niebawem został wybrany na pierwszego sekretarza PZPR” (s. 67–68).

<sup>9</sup> I jeszcze jeden cytat na temat języka: „Stalin w swoim tekście dotyczącym lingwistyki pisze, oczywiście, i o języku, formułując tezy proste i niepodważalne, ganiąc język »burżuazyjny« jako żargon elit i popierając za Marksem wyższość jednego języka narodowego. Na końcu ponownie podkreśla aktywną funkcję nadbudowy, czyli ideologii i władzy politycznej wobec społeczeństwa, otwierając im prawa stanowienia o bazie, czyli społeczeństwie” (s. 221).

od początku” (s. 165). Przypadek Polski nie ma nic wspólnego z pomysłami z kręgu Proletkultu z lat dwudziestych XX w. w Rosji bolszewickiej czy Chinami w najbardziej ortodoksyjnej fazie komunizmu. Takie stwierdzenie dziwi tym bardziej, że kilka stron później znajdujemy cytaty przeczący tezie o „roku zerowym” (s. 176, por. s. 186–187). Autorka nie zapoznała się również zbyt precyzyjnie z przemówieniem Bolesława Bieruta z 16 listopada 1947 r., stąd jej opis tego istotnego wystąpienia jest dalece niewystarczający, pomijając już fakt, że więcej w nim cytałów niż narracji odautorskiej (s. 119–122).

Tego rodzaju powierzchowne analizy prowadzą do kolejnych nieprawidłowości, już w dziedzinie socrealizmu. Przedstawmy to na przykładzie zawartej w książce interpretacji bardzo ważnej dla tego nurtu kategorii „typowości”. Jest ona tutaj rozumiana jako: „najbardziej charakterystyczne”, „hasłowe”, co świadczy o przyjęciu propagandowej wykładni. Takie tłumaczenie pojęcia wprowadza w błąd; „charakterystyczny” w tamtym języku oznaczało „idealny”. Dla tej postawy artystycznej „typowy” to: wyidealizowany, „taki jak być powinien”, „taki jak będzie w przyszłości”, a nie „taki jak inne”. W dodatku – jak widzimy – „typowy” implikuje temporalność nakierowaną na przyszłość (s. 174). Zaburzenie czasu w narracji to charakterystyczna cecha komunistycznej propagandy i warto ją zauważać. Podobnie, gdy piszemy o relacji „typowości” i „obiektywizmu przedstawianej rzeczywistości” (s. 242). Nabiera ona sensu dopiero, gdy zrozumiemy wartość relatywizującego wszystko kontekstu rewolucji. Z wypowiedzi przedstawionej w książce to jednak nie wynika.

Z punktu widzenia analizy warsztatu, jakim dysponuje Autorka pracy, symptomatyczną kwestią jest zjawisko, które nazywa ona: autokrytyką. Wspomina o nim kilka razy (m.in. s. 161, 172, 232). Niestety, trudno zrozumieć, czym, jej zdaniem, jest ta osobliwość, ponieważ sama nie radzi sobie z tym problemem i tłumaczy ją dość ogólnie jako krytykę władzy przez samą siebie (s. 232–233), co ma jej nadawać „ludzkie oblicze”. Z wielkim prawdopodo-

bieństwem można jednak założyć, że doszło tu do pomylenia „autokrytyki” i „samokrytyki”, o której w ogóle w tekście się nie wspomina, a której rola w tamtym okresie była niezwykle istotna<sup>10</sup>. To poważne nieporozumienie.

O innym aspekcie widocznej tu praktyki badawczej świadczy przypisanie Komunistycznej Partii Polski zasługi walki z faszyzmem w czasie II wojny światowej (s. 192). Przypominę, że została ona zlikwidowana w 1938 r., czyli wówczas... nie istniała. Ale bardziej interesujące jest pochodzenie tego błędu. Autorka cytuje dalej *Deklarację ideową PZPR*: „KPP prowadziła konsekwentną walkę przeciw zgubnej polityce faszyzmu polskiego, a w latach poprzedzających klęskę wrześniową wskazywała jedynie słuszną drogę obrony niepodległości Polski – jednolity front robotniczy, front ludowy, obalenie dyktatury sanacji i sojusz z ZSRR” (s. 192). Porównanie cytatu z jego interpretacją może oznaczać, że w tej pracy nie możemy liczyć nie tylko na odpowiednią krytykę źródła, ale czasami nawet – niestety – na zrozumienie jego treści. Być może właśnie dlatego możemy się dowiedzieć, że w *Deklaracji ideowej PZPR* z 1948 r. są zawarte „przesłanki nacjonalistyczne”. To teza daleko idąca. Trudno się również zgodzić z tym, że: „Opieranie ideologii politycznej i artystycznej na tradycji i na przesłankach nacjonalistycznych, argumentacja dowodząca wielowiekowych korzeni ideowych oraz tendencyjna interpretacja historii stanowią metody charakterystyczne dla ideologii totalitarnych” (s. 193). Odwołanie do tradycji nawet tendencyjne nie jest dystynktywne dla totalitaryzmu. W przypadku recenzowanej książki takie podejście wynika z nieznamomości znaczenia pojęcia „naród”, używanego w języku polskiego i radzieckiego stalinizmu. Dlatego też dowiadujemy się np. o „nacjonalistycznych aspiracjach całej polityki stalinowskiej” (s. 45). Takie generalizacje zostały poczynione zdecydowanie ponad miarę.

To niezrozumienie pól semantycznych używanych słów jest zresztą częstsze, w dodatku niesie ze sobą poważne konsekwencje. W tekście nie ma rozróżnienia pomiędzy okre-

<sup>10</sup> Ku takiemu wnioskowi skłania m.in. łączenie autokrytyki i krytyki, co jest zgodne z ówczesną narracją.

śleniami: rosyjski i radziecki; nazwy: Rosja i Związek Radziecki są stosowane wymiennie nawet przy opisach nacjonalizmu rosyjskiego (s. 30). Zamiennie stosowane są też terminy: „autorytarny” i „totalitarny” (s. 172). Można wręcz odnieść wrażenie, że Autorka nie uważa partii za władzę, pisze bowiem: o „partii i władzy” (s. 300), nie wiadomo, dlaczego wyodrębnia również rozwój „ekonomiczny i gospodarczy” (s. 37). Nie rozróżniając socjalizmu i komunizmu, uznała, że „Niewątpliwie myśl socjalistyczna stanowi bazę ideologiczną polskiego socrealizmu, determinuje jego język i treść, choć rzeczywiste cele wyznacza nie głęboko etyczny socjalizm, ale sowiecka propaganda polityczna, która dostosowuje społeczne założenia socjalizmu do swoich potrzeb” (s. 193). Ta nonszalancja prowadzi do umieszczenia wśród cech wspólnych ZSRR i III Rzeszy „ideologii narodowosocjalistycznej” (s. 487), zresztą za *Europą* Davisa. Taki skrót myślowy trudno zaakceptować. Podobnie jak używanie pojęcia: „kolaboracja”, np.: „artyści zobowiązani do kolaboracji z władzą” (s. 8), „W 1925 roku Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego (sic!) skierowała oficjalną odezwę do artystów, nawołując ich do kolaboracji z rządem [...]” (s. 40), wreszcie mamy: kolaborację młodzieży z rządem (s. 152).

Specyficzne podejście do źródeł widoczne jest również w narracji odautorskiej, w której często wykorzystywane są kategorie stalinowskiego języka ideologicznego: przemówienie Bieruta emanuje „entuzjazmem, siłą i stanowczością, a przede wszystkim wielkim zaangażowaniem społecznym” (s. 122), „w wieku XX wraz z ruchem socjalistycznym i komunistycznym, który otwiera drogę do wielkiej rewolucji, rośnie w siłę świadomość społeczna wśród ludności pracującej i kształtują się siły polityczne ukierunkowane na powszechny dobrobyt i niwelowanie różnic klasowych” (s. 250). Stałe używane są pojęcia typu: „naczelny wódz” (nie w kontekście wojny), „wielki wódz”, „sowiecki lud” (s. 40). Przytoczone treści w zaskakujący sposób przypominają język źródeł, tak jakby pisząca nie zwracała uwagi na ich warstwę manipulacyjną. Inny przykład świadczący o myśleniu ich to przyjęcie podziału mecenatu na państwo-

wy i ludowy (s. 97, 126). Ten ostatni był fikcją propagandową, ponieważ patronat sprawowało wyłącznie państwo i pisać książkę o kulturze, warto by o tym wiedzieć.

W rozdziale „właściwym” tematowi (III) przedstawiono politykę kulturalną państwa, edukację artystyczną, zdefiniowano socrealizm, zarysowano niektóre zagadnienia ideologiczne uznane tu za sterujące treścią i formą w malarstwie tego okresu. Robi on nieco lepsze wrażenie niż dwa wcześniejsze, ale również skłania do polemiki. Natykamy się tutaj bowiem na błąd koncepcyjny. W *Głównych zagadnieniach ideologicznych socrealizmu w PRL-u* (s. 182–241) znajduje się podrozdział pt.: *Fundamenty historyczne*, oparty na podstawie *Deklaracji ideowej PZPR*. Jego treścią jest pezetpeerowska interpretacja historii, która jednak nie ma nic wspólnego z malarstwem socrealistycznym, a przynajmniej nie wynika to z pracy. Nie znajdziemy tu odniesienia do żadnego obrazu, który stałby się przykładem potwierdzającym przedstawiane zagadnienia. Jest to kolejna część, która nic nie wnosi do książki o malarstwie. Tym bardziej że jej większość to znowu obszerne cytaty, tym razem z deklaracji ideowej partii (s. 184–194). Podobne zastrzeżenia budzą też pozostałe podjęte tu tematy (s. 182–241).

Dość poważne braki można odnaleźć również w kwestii programu socrealizmu. Jedną z najbardziej istotnych cech socrealizmu była jego polityczność. Tymczasem refleksje na ten temat zostały zredukowane do... dwóch zdań (s. 178). Zupełnie pominięto partyjność sztuki, będącą równie ważną cechą tego nurtu. Przecież, używając tamtego języka – sztuka „iść miała po linii partyjnej”, czyli uwzględniać zmienny (!) w czasie interes partii, jako podstawową determinantę programu. Trudno zrozumieć powody tego zaniechania.

W podrozdziale dotyczącym treści i form w malarstwie w przypadku portretów nie zauważono portretów przywódców, opisując pejzaż, pominięto uwagi na temat roli przyrody jako sfery podporządkowania (Marks). Nie dowiemy się, po co tak seryjnie malowano świnie, dlaczego fabryki wyglądały właśnie w taki, a nie inny sposób, skąd tyle słupów wysokiego napięcia. W podrozdziale o kolorach zabrakło

choćby wzmianki o funkcji i pochodzeniu czerwieni itd. Zawarte tu treści są bardzo ogólnikowe i niemal nigdy niepoparte przykładami. Na podstawie książki nie dowiemy się też, jakie przełożenie na malarstwo socrealizmu w Polsce miały takie wymieniane tu kategorie, jak: likwidacje klas społecznych, ochrona socjalna, dostęp do opieki zdrowotnej, pozytywna rola SDKPiL, jednopartyjność i wiele innych. Ich relację musimy przyjąć jako domyślną.

Poważnym niedociągnięciem jest brak nawiązania do przeszłości artystów i polityków, których poglądy są referowane. Dlatego możemy się dowiedzieć, że Andrzej Wróblewski „próbował z akceptacją odpowiedzieć na oficjalny kanon, co świadczy o jego głębokim przekonaniu o słuszności polityki państwowej socjalistycznego systemu” (s. 94). Jednak ta dość radykalna teza o „głębokim przekonaniu” nie znajduje odzwierciedlenia w książce. Może lepiej byłoby odwołać się do innego argumentu: prób ukojenia traumy wojennej, a nie przekonania politycznych. Znajomość życiorysów malarzy dałaby tu odpowiedzi na pewne pytania i powody akceptacji dla norm socrealizmu. Wtedy inaczej można by było skonstruować dwuznaczne zdanie o tym, że Włodzimierz Zakrzewski „był zwolennikiem rządowego programu” socrealizmu od 1949 r. (s. 93). Znajomość jego poglądów przedwojennych powiedziałyby czytelnikowi więcej o jego podejściu do omawianego nurtu.

Niestety, trzeba też wymienić przynajmniej część błędów rzeczowych na poziomie podstawowym: rosyjska grupa artystyczna w drugiej poł. XIX w. to pieriedwiżnicy, a nie pieriedwieżnicy (s. 33, 37, 47); ani w 1925 r., ani w 1932 r. nie było KPZR<sup>11</sup> (s. 40–41); Polska nie odzyskała niepodległości w roku 1920, ale w 1918 (s. 190); PKWN nie był rządem (s. 70–71); ani w 1948, ani w 1949 r. nie było PRL (s. 215–337); w 1956 r. odbył się XX,

a nie X zjazd partii (ale to możemy uznać za „literówkę”) (s. 42); tytuł plakatu Włodzimierza Zakrzewskiego nie brzmi: „AK – zapluty karzeł reakcji” (s. 468 p. 41), ale „Olbrzym i zapluty karzeł reakcji”; Bierut, umierając, nie był prezydentem (s. 407) i tytułowanie go tak jest niezręcznością; nieprawda, że represje w Polsce zaczęły się dopiero w 1948 r. (s. 440); socrealizmu nie wprowadzał „rząd Polski Ludowej” (s. 7); nieprawda, że „sztuka koncentrowała się na gloryfikacji działań rządu” (s. 196); Stanisław Ossowski nie był filozofem, a socjologiem i teoretykiem nauk społecznych (s. 251); nieprawdą jest, że nowy człowiek miał być wolny od namiętności (s. 210), wręcz odwrotnie, chodziło tylko o narzucenie przez władzę ich konkretnego wektora; nieprawdą jest też, że nowy człowiek był androgyniczny – komunizm w praktyce XX w. to ideologia wysoce antyfeministyczna i maskulinistyczna, przytoczona zasada androgyniczności obowiązywać miała wyłącznie kobiety (s. 210)<sup>12</sup>. W tekście pomyłono też: „partie narodowościowe” i „partie narodowe” (s. 59) oraz „Radę Narodową” i „Radę Państwa” (s. 162). Jaki sens ma przytaczanie opinii, że Stalin otruł Lenina? W zasadzie nie jest to nawet opinia, Autorka zdaje się wierzyć w to (s. 459), tak przynajmniej wynika z tekstu. Jest też przekonana – trudno powiedzieć na jakiej podstawie – że po kongresie powołującym do życia PZPR w 1948 r. powstał „nowy rząd” (s. 126–127).

W wielu przypadkach czytelnik będzie miał trudności z interpretacją przytoczonych faktów, np. nie wiadomo, jak rozumieć zdanie: „Władzę przejął Władysław Gomułka jako I Sekretarz KC PZPR, zapowiadając nową drogę dla polskiego socjalizmu i budząc nadzieje Polaków na zmiany, na które trzeba było jednak poczekać jeszcze blisko ćwierć wieku” (s. 336). Skąd ta cezura czasowa?<sup>13</sup>

<sup>11</sup> Znamienne, ale Autorka nie zwróciła uwagi, że w cytacie i w przypisie mowa jest o jakiejś WKP(b).

<sup>12</sup> Jeśli wcześniej używano pojęcia „androgyniczne”, to nie powinno się za drugim razem go zmieniać na „androgeniczne” (s. 314), należy zachowywać konsekwencję w zapisach.

<sup>13</sup> Kolejne, wybrane spośród wielu, przykłady: „zbrodnie wyrządzone przez stalinizm społeczeństwu i partii” (s. 67), „»Lud pracujący miast i wsi«, wyniesiony do rangi realnej władzy przez konstytucję, był w rzeczywistości obiektem manipulacji dla partii, która rozprzestrzeniła swoją nieograniczoną i dyktatorską władzę w kraju” (s. 66).

W tekście nagminnie stosowane są osobliwe terminy, czasami wręcz wprowadzające czytelnika w błąd. Można by zapytać, co to jest: „masowe społeczeństwo robotnicze, które w socjalizmie jest jedyną klasą reprezentującą lud” (s. 256, por. s. 198, 258); „polska defensywa marszałka Piłsudskiego” w 1920 (s. 281); „zarząd partii komunistycznej” (s. 42); „rozwiązanie ZSRR w 1991 r.” (s. 463); co to jest: „burżuazyjne dążenie do odosobnienia narodowego” (s. 28) czy „estetyka narodo-niemiecka” (zapewne chodzi o „estetykę narodo-socjalistyczną” [s. 464]). Obserwujemy w tekście pewną nieporadność językową, co ciekawe, szczególnie widoczną w pierwszych rozdziałach: „głosy wewnątrz partii skapitulowały – zniszczone własną bronią [...]” (s. 18); „walka [...] dąży do przejęcia kontroli” (s. 40); „język elokwentny” (s. 256); „owocować dla młodzieży” (s. 152); Lenin to „aktywista rewolucyjny” (s. 21), który dążył do „utrzymania potęgi Rosji bolszewickiej o rozpiętości carskiego imperium” (s. 28). Dziesiątki podobnych lapsusów nie służą pracy.

Wiele błędów dotyczy warsztatu naukowego. Zupełnie niezrozumiała jest konwencja, jaką zastosowano w przypadku cytatów, które wyróżniane są w tekście odstępem między wierszami, kursywą i... brązowym kolorem. Jeszcze większe zdziwienie budzi fakt, że wielokrotnie nie kontynuują one myśli zawartej w narracji autorskiej, ale są samoistnymi bytami niełączącymi się z wcześniejszym zdaniem. W pozostałych przypadkach po zdawkowo omówionym problemie pojawia się brązowy cytat, który ma go jedynie potwierdzić. Samo stosowanie cytatów wychodzi poza standardy rządzące celowością; mamy tu raczej do czynienia z próbą ułatwienia sobie pisania przez szczodre operowanie nimi, nawet wtedy gdy jest to całkowicie zbędne. Łatwiej jest oczywiście przepisać źródło *in extenso*, niż je omówić, i taka metoda jest tutaj nagminna. Czasami narracja od-

autorska to krótkie, jednowersowe wtrącenia pomiędzy obszernymi cytatami. Nie ma tu analizy, komentarzy, polemiki, sformułowanych tez, a jedynie kolejne cytaty. Stanowią one większą część niektórych z podrozdziałów, a nawet rozdziałów (II.5, III.1, III.2., IV.1, IV.2, IV.3, IV.4, IV.6, V). Trudno takiemu podejściu nadać miano naukowego. Na rozdział IV *Polemika z socrealizmem* składają się relacje kilkudziesięciu wypowiedzi, które trudno ocenić w jakikolwiek sposób. Podobnie zawarte w rozdz. V poprzedzające wywiady z artystami pochodzące z lat osiemdziesiątych. Mają one znaczenie wyłącznie archiwizacyjne, chociaż pochodzą z dostępnych w obiegu publikacji.

Niestety, Autorka nie panuje nad tekstem, wielokrotnie powtarzając te same treści. O koncepcji budowy socjalizmu w jednym kraju tylko w jednej części czytamy na stronach: 17, 30, 45, 46, o nacjonalizmie Stalina na stronach: 17, 30, 45, 46. Na domiar złego za każdym razem są one przedstawiane w taki sposób, jakby pojawiały się po raz pierwszy. Wielokrotnie przeczytamy, że socrealizm przyszedł do Polski ze Związku Radzieckiego, który był dla niego wzorem, że był ideologiczny, propagandowy, kilkanaście razy dowiemy się, że jego istotą była idea socjalizmu, budowa państwa socjalistycznego itd. Wielokrotnie spotkamy informację, że nie można było krytykować socjalizmu, że Zachód był przedstawiany w negatywnym świetle, że Polska była w strefie wpływów ZSRR. Wszystko to jest prawdą, tylko jaki cel mają te powtórzenia? Warto wymienić inne, mniej znaczące błędy techniczne: nieumiejętne używanie cudzysłówów<sup>14</sup>, brak imion osób wymienianych w tekście po raz pierwszy, zastępowanie oryginalnych źródeł przedrukami<sup>15</sup>.

Trudno się zgodzić z wyrażonym w opracowaniu przekonaniem, że zamieszczona bibliografia pozwala na lepsze poznanie omawianych problemów (s. 458). W pracy brakuje wielu tytułów, które dotyczą socrealizmu, ma-

<sup>14</sup> „Stalin doprowadził »interpretację« marksizmu do zaprzeczenia jego podstawowych założeń”, „bez naruszenia »prawa« i społecznego spokoju”, „Nie zapewnił też narodom »zamieszkującym Rosję« prawa [...]” (s. 21–23). Zwróćmy uwagę, że to słowa tylko z trzech kolejnych stron.

<sup>15</sup> Pisząc o Konstytucji PRL, warto odwołać się do jej wydania, a nie do materiałów z zakresu historii sztuki (s. 488).

larstwa i kultury tamtego okresu<sup>16</sup>. Publikacja tekstu o polskiej sztuce powojennej bez ksiązek autorstwa Piotra Piotrowskiego<sup>17</sup> na ten temat jest nie do przyjęcia. Ale nawet literatura, która tutaj zagościła, nie została należycie wykorzystana. Poza nielicznymi przykładami nie ma odwołań do niej ani znajdujących się w niej ustaleń; najczęściej używana tu metoda, polegająca na poprzestawianiu na cytatach z „Przeglądu Artystycznego”, jest warsztatowym błędem. Część z prac przywołana została w przypisach bez podanych stron, chyba tylko po to, żeby znaleźć się w bibliografii. Całość napisana jest na podstawie dosłownie kilkunastu ksiązek, zazwyczaj najbardziej podstawowych dla tematu. Dodatkową wadą jest brak jakichkolwiek źródeł archiwalnych, co w zderzeniu z deklaracją dotyczącą korzystania z „oryginalnych materiałów źródłowych” (s. 7) jest zupełnym nieporozumieniem. Co z kategorią „prawdy”, która tak mocno wybrzmiała we wstępie?<sup>18</sup> Podobna uwaga dotyczy wspomnień. W tym ostatnim przypadku ponownie mamy niemal wyłącznie rozmowy opublikowane w czasopiśmie „Sztuka”, będącym kontynuacją „Przeglądu Artystycznego”, i w tomie I publikacji *Nowocześni a socrealizm*<sup>19</sup>.

Najlepszą częścią pracy jest zbiór 49 niemal nieznanych reprodukcji pochodzących z Galerii Sztuki Socrealizmu w Kozłowie, które z pewnością staną się podstawą dla kolejnych prac naukowych. Tu widać artystyczne powołanie Autorki, która wybrała znakomite – w swej

typowości – obrazy. Tyle że nie są one ukonstytuowane w treści książki, a ich rozmieszczenie w dużej mierze jest przypadkowe.

Należy również zwrócić uwagę na aspekt etyczny. Na całych stronach przytaczane są dziesiątki informacji bez odwołania do źródeł ich pochodzenia; można również przypuszczać, że Autorka nie widziała wszystkich źródeł, które zacytowała. Niektóre z przywoływanych ksiązek nie mają w swym adresie bibliograficznym podanych stron. Mało tego, co najmniej w jednym przypadku w tekście właściwym znajdujemy odwołanie do „Przeglądu Artystycznego”, ale przypis, jakim cytat został opatrzony, wskazuje już na książkę Józefa Stalina, oczywiście bez podanej strony (s. 220). Autorka powołuje się w przypisach na książkę Bolesława Bieruta *O upowszechnieniu kultury*<sup>20</sup>, ale konstrukcja przypisów<sup>21</sup> i błędny tytuł<sup>22</sup> dowodzą, że raczej do niej nie dotarła, przepisując jej tytuł z innego źródła (s. 480). Tego typu zachowania należy bezwzględnie piętnować.

W zakończeniu możemy przeczytać: „Sześćdziesięcioletni już dystans czasowy umożliwia bardziej bezstronne spojrzenie na omawiane wydarzenia. Współczesna analiza pozwala zbliżyć się do prawdy i przełamać stereotypowe czy bardziej potoczne ujęcia pochodzące z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych” (s. 445). Nawet gdyby z punktu widzenia epistemologii było to możliwe, to z pewnością ta książka nie pomoże w tym. Należałoby ją najpierw zrekonceptualizować, na nowo prze-

<sup>16</sup> Wybrane: E. Franus, *Naręczona Frankensteinia. Sprzeczności płci i pewien polski socrealistyczny obraz*, „Magazyn Sztuki” 1996, nr 10; R. Marszałek, *Kapelusz i chustka*, [w:] *Film i kontekst*, red. D. Palczewska, Z. Benedyktowicz, Wrocław 1988; E. Ostrowska, *Socrealistyczne maskarady patriarchy*, [w:] *Między słowem a obrazem. Księga pamiątkowa dla uczczenia jubileuszu Profesor Eweliny Nurczyńskiej-Fidelskiej*, red. M. Jakubowska, T. Klys, B. Stolarska, Kraków 2005.

<sup>17</sup> P. Piotrowski, *Awangarda w cieniu Jałty. Sztuka w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1945–1989*, Poznań 2005; idem, *Znaczenie modernizmu. W stronę historii sztuki polskiej po 1945 roku*, Poznań 2011.

<sup>18</sup> Należałoby tu postawić retoryczne pytanie, czy można napisać dobrą książkę o architekturze wyłącznie na podstawie zdjęć i artykułów z gazet...

<sup>19</sup> Kraków 2000.

<sup>20</sup> B. Bierut, *O upowszechnieniu kultury. Przemówienie prezydenta Rzeczypospolitej Bolesława Bieruta na otwarciu radiostacji we Wrocławiu 16 listopada 1947*, Warszawa 1948.

<sup>21</sup> Autorka nie podaje konkretnych stron trzech kolejnych cytatów, ale stale powołuje się na: „*Ibidem*, s. 11–20”.

<sup>22</sup> Błędny tytuł: *Z przemówienia Prezydenta Bolesława Bieruta na otwarciu radiostacji we Wrocławiu 16 listopada 1947 roku, O upowszechnieniu kultury*, Warszawa 1948.



myśleć, usunąć błędy. Wtedy miałyby większe znaczenie, ponieważ ukryty w niej potencjał pozwala na właściwe przedstawienie malarstwa socrealistycznego w Polsce.

Na koniec pozwolę sobie na refleksję nieco bardziej ogólną. PWN było kiedyś wydawnictwem naukowym, którego książki gwaran-

towały jakość. Czy nie warto byłoby kontynuować dobre tradycje? Gdzie w tym przypadku byli recenzenci, redakcja i korektorzy? Czy zysk i jak najmniejszy koszt zrównoważy straty wizerunkowe?

Mariusz Mazur  
Lublin

***Komunistyczny aparat represji wobec jezuitów Prowincji Polski Południowej, „Kościół w Okowach”, t. 5, red. Andrzej Paweł Bieś, Filip Musiał, Instytut Pamięci Narodowej – WAM, Kraków 2014, ss. 380***

Zakony położone na terenie Polski po 1945 r. były w równie trudnej sytuacji co cały polski Kościół. Wynikało to z ogromnych strat osobowych i materialnych poniesionych w okresie II wojny światowej i z podejścia komunistycznych władz, których celem było zniszczenie lub ubezwłasnowolnienie Kościoła. Zakonnicy, a szczególnie jezuita, byli postrzegani jako istotne zagrożenie i bezkompromisowi wrogowie wprowadzania w Polsce systemu komunistycznego opartego na zasadach marksistowskich. Tom *Komunistyczny aparat represji wobec jezuitów Prowincji Polski Południowej*, wydany w serii „Kościół w Okowach”<sup>1</sup> (jako tom piąty), jest podsumowaniem wiedzy na temat działań aparatu represji wymierzonych w działalność jezuitów w Polsce Południowej. Stanowi pokłosie konferencji naukowej zorganizowanej w 2012 r. w Krakowie. Zgodnie

z wolą zakonu jezuitów w tytule pracy zawarto funkcjonującą od 1975 r. nazwę Prowincji, co oddała moje wątpliwości odnośnie do tytułu opracowania.

Teksty, jak to zwykle bywa w przypadku prac zbiorowych, mają zróżnicowany charakter. Część z nich wyczerpuje przedstawiany temat, inne zaś stanowią jedynie przyczynki do dalszych badań bądź należą do kategorii *case studies*.

Trzy pierwsze artykuły tomu mają charakter wprowadzający do omawianej tematyki. W pierwszym z nich Józef Marecki omawia stosunek komunistycznego państwa do wspólnot zakonnych. Ze względu na swoje doświadczenie badawcze należy do autorów najbardziej predestynowanych do przedstawiania wspomnianej tematyki<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> W ramach serii „Kościół w Okowach”, wydawanej wspólnie przez krakowski Oddział Instytutu Pamięci Narodowej, opublikowano wartościowe prace poświęcone dziejom Kościoła – t. 1: P. Mardyla, *Duszpasterstwo w czasach stalinowskich. Władze komunistyczne wobec działalność duszpasterskiej Kościoła rzymskokatolickiego w archidiecezji krakowskiej w latach 1945–1956*, Kraków 2009; t. 2: *Represje wobec Kościoła w krajach bloku wschodniego. Komuniści przeciw religii po 1944 r.*, Kraków 2011; t. 3: *Niezłomni ludzie Kościoła. Sylwetki*, red. J. Żaryn, Kraków 2011; t. 4: *Aparat represji wobec Kościoła w latach 1944–1956. Terytorium obecnej diecezji sandomierskiej*, red. M. Krzysztofiński, J. Marecki, B. Stanaszek, Kraków 2012. Jak informują autorzy wstępu Andrzej Paweł Bieś i Filip Musiał, w przygotowaniu znajdują się dwa kolejne tomy – t. 6: *Prowincja polska dominikanów na tle sytuacji zakonów męskich w PRL*, red. M. Mławicki, M. Wenklar; t. 7: *Duszpasterstwa środowiskowe Archidiecezji Krakowskiej w latach 1945–1989*, red. C. Kuta, J. Marecki.

<sup>2</sup> Ks. prof. Józef Marecki opublikował m.in. bardzo wnikliwe studium dotyczące działalności aparatu represji wobec wspólnot zakonnych na terenie województwa krakowskiego. Zob. idem, *Zakony pod presją bezpieczeństwa. Aparat bezpieczeństwa wobec wspólnot zakonnych na terenie województwa krakowskiego, 1944–1975*, Kraków 2009.

W swoim tekście w syntetyczny sposób przedstawił podejście państw komunistycznych do zakonów. Swoją uwagę Autor skoncentrował zasadniczo na sytuacji w Polsce powojennej, ale odniósł się również do innych państw bloku wschodniego. Zwrócił uwagę przede wszystkim na ideologiczne uwarunkowania i system prawny przygotowany przez komunistów do ograniczenia roli zakonów. Omówił także sposób organizacji i charakter struktur administracji partyjno-państwowej oraz aparatu represji powołanych do kontroli nad „wrogą działalnością zakonów”. Przedstawił również metodykę ich działań, szczególną uwagę zwracając na inwigilację i działania represyjne prowadzone przez bezpiekę. Temat omawia w wyczerpujący sposób, dokładnie odtwarzając uwarunkowania funkcjonowania zakonów w Polsce Ludowej, co znacząco ułatwia lekturę kolejnych tekstów.

Ryszard Terlecki w drugim z tekstów, mających charakter wprowadzający, omawia w skrótowy sposób działalność jezuitów w PRL. Moje zastrzeżenia budzi tytuł tekstu: *Jezuici w PRL. Zarys problematyki*, gdyż państwo o takiej nazwie powołano formalnie od 1952 r. Wydaje się, że należało zmienić tytuł lub wprowadzić stosowne zastrzeżenie w przypisie. W pierwszej części artykułu Autor omówił stan osobowy i materialny zakonu po II wojnie światowej, zwracając uwagę na znaczne straty poniesione przez jezuitów. R. Terlecki podkreślił, że bardzo szybko, bo już w 1949 r., zakon ten został wytypowany przez komunistyczne władze do szczególnie intensywnej inwigilacji. Autor dość szczegółowo omówił również projekty likwidacyjne zakonu, jakie zaczęły się rodzić w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych w Biurze Politycznym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, których na szczęście nie zdecydowano się wdrożyć do realizacji. R. Terlecki przedstawił również kolejne próby ograniczenia roli jezuitów (i innych zakonów) przy pomocy działań o charakterze administracyjnym. Zwrócił ponadto uwagę na napięcia między prymasem Stefanem Wyszyńskim a przełożonymi zakonnymi w kwestii rozmów z władzami, które

władze PRL starały się wykorzystywać. Autorowi udało się zachować właściwy balans między omówieniem tematyki ogólnej dotyczącej miejsca zakonów w polityce komunistycznych dygnitarzy a sytuacją jezuitów. Z natury rzeczy, i jak sugeruje tytuł tekstu, artykuł stanowi jedynie rekonesans, ale jest to z pewnością rekonesans kompetentnie opracowany i omawiający najważniejsze elementy funkcjonowania jezuitów w Polsce Ludowej.

Ostatni z tekstów o charakterze wprowadzającym to artykuł Antoniego Kury poświęcony stosunkowi komunistycznego wymiaru sprawiedliwości do jezuitów. Tekst ma istotne znaczenie, gdyż dotychczas żaden badacz nie poświęcił temu zagadnieniu osobnego studium. Informacje dotyczące owej tematyki pojawiały się jedynie sporadycznie w pracach na temat działań represyjnych władz wobec tej wspólnoty zakonnej. Autor podkreśla, że określenie skali represji sądowych wobec jezuitów nie jest na obecną chwilę możliwe do precyzyjnego odtworzenia, więc omawiany temat powinien stać się obiektem dalszych pogłębianych badań. A. Kura sposób działania komunistycznego wymiaru sprawiedliwości omówił na kilku przykładach, zwracając uwagę na jego ideologicznie uwarunkowaną rolę jako narzędzia do realizacji polityki prześladowań wobec zakonników.

Do najważniejszych tekstów tomu, mających charakter pełny i przedstawiających badane zagadnienie w możliwie całościowy sposób, należą artykuły: Filipa Musiała, Moniki Komanieckiej, Marcina Kasprzyckiego i Andrzeja Pawła Biesia.

Pierwszy ze wspomnianych autorów omówił stosunek krakowskiego aparatu represji do jezuitów w latach 1945–1956. W pierwszej części swojego tekstu przedstawił dość szczegółowo struktury i funkcjonariuszy bezpieki odpowiadających za nadzór i działania represyjne wobec zakonów w Krakowie, zwracając uwagę na najbardziej zaangażowanych w działania wymierzone w jezuitów oficerów UB/SB (szczególnie znaczący był w tym względzie Zbigniew Faryna<sup>3</sup>). W drugiej części tekstu

<sup>3</sup> Ze względu na skuteczność działania i zakres obowiązków Z. Faryna został nazwany przez autora tekstu na jego temat stachanowcem krakowskiej bezpieki, zob. szerzej: J. Marecki, *Zbigniew Faryna – stachanowiec*

F. Musiał szczegółowo omówił metodykę działań operacyjnych aparatu represji wymierzonych w jezuitów, wyróżniając kategorię spraw, w ramach których je prowadzono. Ze względu na stan bazy źródłowej Autor nie był w stanie odpowiedzieć na pytanie, w jaki dokładnie sposób usystematyzowano działalność wymierzoną przeciwko jezuitom, ale słusznie skłania się ku wnioskowi, że realizowano ją w ramach teczki zagadnieniowej. Podkreśla, że jedynym wyjątkiem od tej zasady była głośna sprawa ks. Władysława Gurgacza, który był kapelanem Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej i którego ostatecznie komuniści skazali na śmierć (wyrok wykonano)<sup>4</sup>. F. Musiał w dokładny sposób przedstawił pełen zakres działań SB wymierzonych zarówno w poszczególnych zakonników, jak i całościowych prowadzonych przeciwko zakonowi na terenie województwa krakowskiego. W kolejnej części tekstu omówił osobowe i rzeczowe środki pracy operacyjnej wykorzystywane do inwigilacji jezuitów. Dzięki informacjom pozyskiwanym ze źródeł agenturalnych aparat represji posiadał precyzyjne dane na temat wspólnoty zakonnej, ale jak wyraźnie podkreślił Autor, zdecydowana większość zakonników oparła się werbunkowi. Sieć agenturalna do 1956, jak trafnie zauważył F. Musiał, była dla UB dalece niewystarczająca i nie dawała możliwości wypełniania funkcji dezintegracyjnej czy inspiracyjnej.

Drugi z artykułów tomu, wyczerpujący przedstawiane zagadnienie, to tekst poświęcony inwigilacji jezuitów przy pomocy metod techniki operacyjnej. M. Komaniecka w dokładny sposób omówiła całość działań struktur pomocniczych aparatu represji: Wydziału „B”, zajmującego się obserwacją i prowadzeniem wywiadów środowiskowych, Wydziału „T”,

odpowiadającego za technikę operacyjną, i Wydział „W”, zajmującego się perlustracją korespondencji<sup>5</sup>. Zakon jezuitów ze względu na jego wpływ na życie społeczne i młodzież poddano szczególnej inwigilacji. Korzystano ze wszystkich wspomnianych wyżej pionów pomocniczych aparatu represji. Najwięcej zadań wykonywał w tym względzie Wydział „B”, który miał za zadanie obserwować wszystkich najważniejszych jezuitów w Prowincji. Z punktu widzenia bezpieczeństwa niemniej istotna była również rola Wydziału „T”, gdyż w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych podejmowano próby założenia podsłuchów w pomieszczeniach zakonnych, które jednak ostatecznie zakończyły się fiaskiem. Charakter uzupełniający miała perlustracja korespondencji, z której niejednokrotnie aparatowi represji udało się uzyskać istotne informacje. Niemniej jednak Autorka nie była w stanie ustalić precyzyjnie skali działania Wydziału „W” w tym względzie, wynika to przede wszystkim ze zniszczenia wielu dokumentów UB/SB, w których wspomniane informacje były zawarte.

Trzeci z tekstów tomu, całościowo odzwierciedlający analizowaną tematykę, dotyczy działań nowosądeckiego aparatu represji wymierzonych w zakon jezuitów. Tekst M. Kasprzycykiego zbudowany został w przejrzysty sposób. Najpierw odtworzył on priorytety aparatu represji, jeśli chodzi o inwigilację placówek zakonnych wspólnoty na terenie Nowego Sącza, i szczegółowo omówił zakres działań wyznaczonych przez zwierzchników dla struktur antykościelnych mających za zadanie kontrolować jezuitów. Następnie dokładnie przedstawił sieć agenturalną, dzieląc okres jej funkcjonowania na dwa okresy: lata 1945–1956 i 1957–1975. Poza jej przedstawieniem omówił również, co

*krakowskiej bezpieki*, [w:] *Kościół katolicki w czasach komunistycznej dyktatury. Między bohaterstwem a agenturą. Studia i materiały*, t. 3, red. J. Szczepaniak, M. Lasota, Kraków 2010, s. 297–330.

<sup>4</sup> Na temat ks. Gurgacza powstała już obszerna literatura, zob.: D. Golik, F. Musiał, *Jezuita wyklęty*, Kraków 2014 (tam też pełna literatura przedmiotu).

<sup>5</sup> Na temat pionów pomocniczych aparatu represji zob. szerzej: *Instrukcje pracy pionów pomocniczych Urzędu Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa (1945–1989)*, oprac. M. Komaniecka, Kraków 2010; R. Ciuppa, M. Komaniecka, *Szpiegowski arsenał bezpieki. Obserwacja, technika operacyjna, kontrola korespondencji jako środki pracy Służby Bezpieczeństwa PRL*, Katowice–Kraków 2011; M. Komaniecka, *Pod obserwacją i na podsłuchu. Rzeczowe środki pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa w województwie krakowskim w latach 1945–1990*, Kraków 2014.

należy traktować jako uzupełnienie, działalność operacyjną aparatu represji wobec świeckich zaangażowanych w życie jezuickich parafii. W moim przekonaniu uczynił to jednak zbyt skrótowo, omawiając jedynie działania wobec dwóch osób: Władysława Bulandy i Aleksandra Paszyńskiego. Wydają się, że jeśli już Autor zdecydował się dołączyć fragment dotyczący obrzeży analizowanego tematu, to powinien omówić tę kwestię w sposób bardziej wyczerpujący (szczególnie że połowę tego fragmentu artykułu stanowią cytaty z materiałów operacyjnych SB – zabrakło szerszej analizy samego Autora). Poza tym drobnym zastrzeżeniem uważam, że tekst M. Kasprzyckiego w całości wyczerpuje wskazaną w tytule artykułu tematykę.

Ostatni spośród czterech tekstów zbioru, ujmujący w całości analizowane zagadnienie, to artykuł A. P. Biesia *Jezuici zarejestrowani jako osobowe źródła informacji – skala problemu*. W moim przekonaniu Autor wykorzystał właściwie wszystkie źródła archiwalne zgromadzone w archiwach krakowskiego i katowickiego oddziału IPN dotyczące wspomnianej tematyki. Wykonał w tym względzie ogromną pracę polegającą na przejrzeniu i przeanalizowaniu wielu zróżnicowanych typów dokumentacji: od teczek osobowych i teczek pracy osobowych źródeł informacji, przez raporty i okresowe sprawozdania z pracy analitycznych struktur aparatu represji i akt „spraw obiektowych”, w ramach których prowadzono kontrolę różnych środowisk, aż do rozliczeń środków wydatkowanych przez Wydział IV krakowskiej

SB z funduszu przeznaczanego na cele operacyjne<sup>6</sup>. Kwerendę Autora uzupełniły zapytania ewidencyjne dotyczące różnych osób (niestety, z uwagi na ograniczenia ustawowe badacze nie mają wglądu w całość katalogów, materiałów zgromadzonych w archiwach IPN, co znacząco ułatwiałoby badania archiwalne), poddane następnie przez Autora analizie. Słusznie w moim przekonaniu A. P. Bieś wiele miejsca poświęcił omówieniu kategorii dokumentacji archiwalnej, z której korzystał, dzięki czemu możemy przekonać się, że przeanalizował właściwie wszystkie konieczne do opisu tak szerokiego zagadnienia materiały. Po ich omówieniu zwrócił również uwagę na zróżnicowany charakter współpracy agenturalnej oraz przedstawił typologię osobowych źródeł informacji<sup>7</sup>. Następnie Autor w dokładny sposób omówił w dwóch wydzielonych częściach: kandydatów na Tajnych Współpracowników i Tajnych Współpracowników, zdecydowanie więcej miejsca poświęcając tej drugiej kategorii osobowych źródeł informacji (co jest jak najbardziej uzasadnione, gdyż TW był podstawową kategorią OZI). Każdą część zakończył krótkim podsumowaniem, w którym przedstawił wnioski ogólne i zaprezentował skalę współpracy agenturalnej w poszczególnych okresach istnienia Polski Ludowej. Spośród jego spostrzeżeń należy zwrócić szczególną uwagę na dwa istotne wnioski ogólne. Po pierwsze, że największe agentów i informatorów było czynnych w latach pięćdziesiątych, zaś najmniej w osiemdziesiątych. Po drugie, że na poziomie ogólnych syntetycznych rozważań nie sposób odpowiedzieć na wszystkie kwestie

<sup>6</sup> Zestawienie wspomnianych rozliczeń zostało już wcześniej opublikowane, zob. M. Hałaburda, J. Szczepaniak, *Fundusz operacyjny Wydziału IV KW MO w Krakowie (1962–1966)*, [w:] *Kościół katolicki w czasach komunistycznej dyktatury. Między bohaterstwem a agenturą. Studia i materiały*, t. 1, red. R. Terlecki, J. Szczepaniak, Kraków 2007, s. 317–443; iidem, *Fundusz operacyjny Wydziału IV KW MO w Krakowie (1966–1970)*, [w:] *ibidem*, t. 2, red. R. Terlecki, J. Szczepaniak, Kraków 2008, s. 345–444; M. Hałaburda, *Fundusz operacyjny Wydziału Studiów i Analiz SB w Krakowie, IV kwartał 1989 roku*, [w:] *ibidem*, t. 3, red. J. Szczepaniak, M. Lasota, Kraków 2009, s. 461–497.

<sup>7</sup> Przy przedstawianiu wspomnianej tematyki korzystał z opracowań innych badaczy, przede wszystkim Filipa Musiała. Na temat kategorii OZI zob. szerzej: F. Musiał, *Zamiast wprowadzenia: archiwalia komunistycznego aparatu represji*, [w:] *Wokół teczek bezpieki. Zagadnienia metodologiczno-źródłoznawcze*, red. F. Musiał, Kraków 2006, s. 46–49; idem, *Podręcznik bezpieki. Teoria pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa w świetle wydawnictw resortowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL (1970–1989)*, Kraków 2007, s. 87–167, 275–303; W. Sawicki, *Osobowe źródła informacji organów bezpieczeństwa Polski Ludowej*, „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989” 2007, nr 1 (5), s. 9–18.

związane ze współpracą agenturalną poszczególnych osób, z tego też powodu każdy przypadek współpracy należy rozpatrywać oddzielnie (zdecydowanie podzielam to stanowisko).

W tomie *Komunistyczny aparat represji wobec jezuitów Prowincji Polski Południowej* znajdują się rozważania, które można uznać za typowe *case studies*. Dotyczą one zarówno współpracy agenturalnej – artykuł Wojciecha Frazika poświęcony przypadkowi TW ps. Kazek, jak i represji oraz inwigilacji poszczególnych jezuitów – teksty Roksany Szczypty-Szczęch i Stanisława Bogacewicza.

Pierwszy ze wspomnianych autorów omówił *casus* o. Edwarda Stocha, właściwie jedyne go z duchownych, który publicznie przyznał się do współpracy agenturalnej i za nią przeprosił. Jak wyżej wspomniałem, przypadek każdego TW należy rozpatrywać oddzielnie, ale można również z jego analizy wyciągać pewne wnioski ogólne na temat roli OZI i sposobu ich prowadzenia przez aparat represji oraz umiejscowić w kontekście wydarzeń z życia Kościoła<sup>8</sup>. W analogiczny sposób to zagadnienie widział W. Frazik, który omówił sprawę TW ps. Kazek oraz opisał rolę o. E. Stocha na tle istotnych wydarzeń kościelnych, takich jak obchody „Milenium”, starając się równocześnie ocenić szkodliwość jego współpracy agenturalnej. Jeśli chodzi o tekst opisujący przypadek TW ps. Kazek, najwięcej wniosków można wyciągnąć w odniesieniu do problematyki sposobów używanych przez funkcjonariuszy aparatu represji do wiązania OZI z oficerem prowadzącym<sup>9</sup>.

Artykuł R. Szczypty-Szczęch dotyczy przypadków dwóch jezuitów: o. Wiktora Mocki i Romualda Moskały. Autorka opisała sposób ich inwigilacji, a następnie śledztwo i proces, jaki wytoczono obu zakonnikom. Tekst ma istotny charakter, gdyż na konkretnych przykładach pokazuje sposób działania komunistycznego wymiaru sprawiedliwości, w którym śledztwo polegało na udowodnieniu wymagowanych zarzutów, a proces na potwierdzeniu winy zasiadających na ławie oskarżonych duchownych<sup>10</sup>.

Ostatni z artykułów tomu o charakterze *case studies* – Stanisława Bogacewicza dotyczy o. Adama Wiktora i parafii św. Klemensa Dworzaka we Wrocławiu, którą zarządzał wspomniany zakonnik, w świetle dokumentów SB. Artykuł obejmuje lata 1978–1987, kiedy o. Wiktor zarządzał parafią. Był to okres niezwykle ciekawy ze względu na wydarzenia, jakie w tym czasie miały miejsce: od pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do PRL, przez rewolucję „Solidarności” i stan wojenny, aż do trzeciej wizyty Ojca Świętego w ojczyźnie. Przypadek o. Wiktora jest tym bardziej interesujący, że, z jednej strony, był on zaangażowany we wspieranie wrocławskiej opozycji i organizował mszę za ojczyznę, zaś z drugiej, został zarejestrowany jako TW ps. Maciek od 22 XII 1981 do 18 I 1984 (wyrejestrowano go z powodu odmowy dalszej współpracy). Niestety, poza zapisem w ewidencji nie ma materiałów dotyczących współpracy agenturalnej, nie można więc, jak trafnie wskazują Autor,

<sup>8</sup> Potwierdzam tylko stanowisko, które wyraziłem w dwóch tekstach, gdzie odnosiłem się do współpracy agenturalnej osób duchownych, zob.: R. Łatka, *Ksiądz Antoni Pietrzyk – przypadek tajnego współpracownika o pseudonimach „Antoni”/„Deszcz”/„Pawlica”*, [w:] *Osobowe środki pracy operacyjnej – zagadnienia źródłoznawcze*, red. F. Musiał, Kraków 2013, s. 7–29; idem, *Problemy metodologiczne w prowadzeniu badań na temat historii Kościoła katolickiego w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej*, [w:] *Możliwości poznawcze i wartość badań historycznych w oczach młodej kadry naukowej*, w druku.

<sup>9</sup> F. Musiał, *Wiązanie tajnych współpracowników z organami bezpieczeństwa Polski Ludowej. Przyczynek do dyskusji nad mechanizmem psychicznego manipulowania konfidentami*, [w:] *Osobowe źródła informacji – zagadnienia metodologiczno-źródłoznawcze*; J. Szczepaniak, *Jak werbowano współpracowników (informatorów, agentów) spośród duchownych*, [w:] *Kościół katolicki w czasach komunistycznej dyktatury...*, t. 3, s. 57–80; Ł. Marek, *Psychologia werbunku kapłanów*, [w:] *ibid.*, s. 81–99.

<sup>10</sup> Trafna w tym względzie jest obserwacja Jadwigi Staniszkis, która stwierdziła, że prawo w państwie komunistycznym utraciło status obiektywnych i trwałych reguł chroniących przestrzeń wolności obywatelskiej, a stało się instrumentem sprawowania władzy. Było państwem „preogratywnym, ponadprawnym, w którym państwo odrzuca prawną regulację samego siebie”, eadem, *Ontologia socjalizmu*, Warszawa 1990, s. 72.

określić stopnia uwikłania duchownego w kontakty z SB. Wydaje się, że jego wsparcie dla „Solidarności”, które publicznie eksponował i które zostało odnotowane w wielu materiałach aparatu represji, wskazuje, że był to kontakt incydentalny, ale nie można tej hipotezy w żaden sposób potwierdzić. Dodatkowym argumentem na jej rzecz jest fakt, że o. Wiktor był oceniany w wielu dokumentach bezpieki jako „wrogi” oraz że aparat represji podjął wiele działań zmierzających do usunięcia go z funkcji administratora parafii św. Klemensa Dworzaka. Jak wynika z dokumentacji archiwalnej, którą obficie przytacza Autor, władze podjęły w tej sprawie również interwencje u metropolity wrocławskiego kardynała Henryka Gulbinowicza. Ostatecznie udało się osiągnąć cel i o. Wiktor w lipcu 1987 r. został przeniesiony do Nowego Sącza, gdzie przyszło mu pełnić funkcję superiora wspólnoty jezuitów. Niestety, jak podkreśla S. Bagacewicz, okoliczności tej decyzji władz kościelnych nie są znane, ale należy się skłaniać ku tezie, że naciski władz miały w tym względzie dość istotne znaczenie. Nie mam większych zastrzeżeń do samego artykułu, ale w moim przekonaniu Autor zbyt wiele miejsca poświęcił przedstawieniu ogólnej sytuacji Kościoła w metropolii wrocławskiej. Zarzut ten jest uzasadniony w kontekście tytułu tekstu: *O. Adam Wiktor SJ i administrowana przez niego parafia św. Klemensa Dworzaka we Wrocławiu w świetle dokumentów SB*. Wydaje się, że wystarczyłoby w tytule artykułu dodać: *na tle sytuacji w metropolii wrocławskiej* i mój zarzut można by oddalić.

W zbiorze umieszczono, poza wspomnianymi wyżej kategoriami tekstów, dwa artykuły poświęcone działaniom SB wobec Duszpasterstwa Akademickiego zorganizowanego przez jezuitów, będące zarysem przedstawianego zagadnienia. W pierwszym z nich Jarosław Szarek omówił działania aparatu represji wobec Wspólnoty Akademickiej Jezuitów umiejscowionej przy kościele Jezuitów na ul. Kopernika w Krakowie w latach siedemdziesiątych.

Przedstawił główne kierunki działania aparatu represji i metody, jakie stosowano wobec WAJ we wspomnianym wyżej okresie. Jego uwagi i spostrzeżenia dotyczące analizowanej tematyki mają jednak, na co wskazuje już sam tytuł, charakter dość powierzchowny i wskazują, że omawiana problematyka wymaga dalszych badań. Podobnie sytuacja wygląda, jeśli chodzi o artykuł Grażyny Pańko: *Jezuickie Duszpasterstwa Akademickie Wrocławia i Opola w latach 1950–1989 w dokumentach Służby Bezpieczeństwa. Zarys problematyki*. Niemniej jednak dostrzegam wyraźną różnicę jakościową, jeśli chodzi o obydwa teksty, która wypada zdecydowanie na korzyść J. Szarka. W moim przekonaniu stopień zgłębienia tematu w tekście G. Pańko jest zbyt płytki, a uwagi poczynione w kontekście omawianej problematyki uważam za zbyt powierzchowne. Wydaje się, że lepszym pomysłem byłoby skupienie się na jednym ze wspomnianych wyżej Jezuickich Duszpasterstw, tak by dokładniej omówić jeden z analizowanych przypadków. Innym zabiegiem, który byłby pomocny w kontekście pogłębienia tematu, mogłoby być zawężenie ram czasowych tekstu. W moim przekonaniu artykuł znacznie zyskałby wtedy na wartości i pozwoliłoby to Autorce omówić wskazaną problematykę w szerszy sposób.

Podsumowując, tom *Komunistyczny aparat represji wobec jezuitów Prowincji Polski Południowej* stoi, generalnie rzecz ujmując, na bardzo wysokim poziomie merytorycznym. Można mieć mniejsze lub większe zastrzeżenia co do niektórych artykułów wchodzących w jego skład, ale nie rzutują one na bardzo pozytywną ocenę całości tej publikacji zbiorowej. Duża w tym zasługa redaktorów tomu – A. P. Biesia i F. Musiała, którzy zebrali i opracowali teksty o różnorodnym charakterze, od całościowych ujęć problemu, przez przyczynki, aż do *case studies*. Wydają się, że istotna była w tym względzie również rola recenzentów tego opracowania, wybitnych znawców dziejów Kościoła w PRL: Adama Dziuroka<sup>11</sup> i Dominika Zamiatały<sup>12</sup>, których spostrzeżenia i uwagi

<sup>11</sup> Adam Dziurok opublikował m.in. *Kruchtoizacja. Polityka władz partyjno-państwowych wobec Kościoła katolickiego w latach 1945–1956 w województwie śląskim/katowickim*, Katowice 2012, oraz zredagował istotne publikacje zbiorowe i źródłowe dotyczące dziejów Kościoła w Polsce Ludowej: *Metody pracy operacyj-*

z pewnością podniosły wartość merytoryczną tomu. Analizowana publikacja, podobnie jak inne tomy z serii „Kościoł w Okowach”, należy bez wątpienia do najlepiej opracowanych pu-

blikacji dotyczących historii Kościoła w Polsce Ludowej.

Rafał Łatka  
Kraków

---

*nej aparatu bezpieczeństwa wobec Kościołów i związków wyznaniowych 1945–1989*, red. A. Dziurok, Warszawa 2004; *Aparat bezpieczeństwa wobec kurii biskupich w Polsce*, red. A. Dziurok, Warszawa 2009; *Represje wobec żeńskich zgromadzeń zakonnych w PRL. Zagadnienia wybrane*, red. A. Dziurok, J. Myszor, Katowice 2012.

<sup>12</sup> Dominik Zamiatała jest autorem m.in. monumentalnego studium dotyczącego zakonów w okresie Polski Ludowej wydanego w dwóch tomach – *Zakony męskie w polityce władz komunistycznych w Polsce w latach 1945–1989*, t. 1: *Problematyka organizacyjno-personalna*, Łomianki 2011; t. 2: *Działalność duszpasterska i społeczna zakonów w latach 1945–1989*, Warszawa 2012.